

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1

(94) 2019

Aleksandra Solarewicz rozmawia o kresowej stancy na polskich Łużycach ♦ Piotr Boroń o konfederacji barskiej we Lwowie ♦ Opowiadanie Hanny Wietrzny ♦ Wiersze Henryka Greba ♦ O Zaświeciu pisze Beata Bednarz ♦ Lwów z lat 70. XX w. przypomina Stanisław Grodziski ♦ Nowy cykl muzyczny inauguruje Michał Piekarski

---

## Przychodzimy, odchodzimy?

**W** ostatnich miesiącach tkwimy w nieustannej żałobie. Wciąż żegnamy bliższych lub dalszych znajomych. *Przychodzimy, odchodzimy, leciuteńko, na paluszkach* – brzmią słowa hymnu Piwnicy Pod Baranami skreślone przed laty przez nieżyjącego już poetę Janusza Jęczyka. Zabrzmiały mi te słowa w głowie, gdy kolejny raz czytałem tekst Stanisława Czernego, będący pożegnaniem Adama Guyrkovicha – prezesa naszego Krakowskiego Oddziału TMLiKPW. Odszedł w styczniu, w dniu kiedy wspominaliśmy Go składając sobie życzenia przy okazji opłatkowego spotkania krakowskich kresowian. To wielowymiarowa postać, która odcisnęła wyraziste piętno na działalności krakowskich kresowian. Wszak prezesował nam od 2000 roku! Czasem te odejścia są niezauważalne, bezszelestne i niespodziewane... Czy tak się kiedyś stanie z naszym pismem, gdy zabraknie tekstów o tematyce kresowej, spływających do nas coraz cieńszym strumieniem?

Z drugiej strony nie jest chyba tak źle, bo wciąż dość licznie ukazują się książki opowiadające o Kresach, które staramy się omawiać na naszych łamach. Nie składa pióra prof. Stanisław S. Nicieja, który kontynuuje swe dzieło – *Kresową Atlantydę*, to już kilkanaście tomów. Niedawno też ukazały się: *Szuflada* Katarzyny Szczepańskiej-Kowalczyk (pisze o tej książce w numerze Beata Bednarz), kryminalna opowieść Janusza Majewskiego *Ryk kamiennego lwa, Lwów na słodko i... półwytrawnie* Anny Kozłowskiej-Ryś czy *Legenda Orłąt* Jana Ryszarda Czarnomskiego (cała seria jego książek to prawie dziesięć tomów!). W końcu trójksiąg Józefa Łobodowskiego, żyjącego na emigracji polskiego pisarza, opisującego dramatyczne losy młodego Polaka, którego rodzinę nad Morzem Czarnym zastała rewolucja bolszewicka (t. 1: *Komysze*, t. 2: *W stanicach*, t. 3: *Droga powrotna*). Wymieniłem tylko te tytuły, z którymi zetknąłem się bezpośrednio, i gorąco je polecam.

W roku bieżącym pomocną dłoń naszemu kwartalnikowi podał znowu Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego UMK. Ale także Biblioteka Kraków, która zgodziła się pełnić rolę współwydawcy *Cracovia Leopolis*. To bardzo ważne dla nas, że wspierać nas będzie największa biblioteka publiczna w Polsce, której dyrektor – dr Stanisław Dziedzic – od lat jest nie tylko stałym autorem, ale także członkiem Rady Programowej kwartalnika. Musimy zrobić wszystko, a bardzo wiele zależy przecież od nas, by wykorzystać potencjał Biblioteki Kraków i za pośrednictwem 56 jej filii dotrzeć do nowych czytelników. Mam też nadzieję, iż nasz ćwierćwieczny dorobek zostanie – niejako przy okazji – włączony do cyfrowych zbiorów Biblioteki Kraków, dzięki czemu staniemy się bardziej dostępni, głównie dla młodych czytelników. Być może wśród nich znajdziemy godnych następców, którzy zafascynowani Kresami przejmą od nas stery? Byśmy mogli z satysfakcją dobrze spełnionego zadania, kiedy przyjdzie na to czas, *leciuteńko na palcach* odpłynąć...

Janusz M. Paluch

---

## Kazanie wygłoszone podczas Mszy św. w 100-lecie oswobodzenia Lwowa

*Gdy Jezus był już blisko Jerozolimy, na widok miasta zapłakał nad nim i rzekł: „O gdybyś i ty poznało w ten dzień to, co służy pokojowi” (Łk 19,41).*

**K**iedy Syn Boży płacze nad miastem, szczególnie nad tym Miastem, wiemy, że dzieje się coś niesłychanie poważnego. Jerozolima przestała służyć pokojowi. Jej los w „starym wydaniu” jest przesądzony. Prorok–Mesjasz–Syn Boży zna już historię i przyszłość tego miasta ze słynnym wzgórzem świątynnym. Wiatry historii odmieniają wkrótce zupełnie jego panoramę. Nie zostanie kamień na kamieniu. Jezus Chrystus dobrze już wie, że tylko **Jego ofiara i zbawczy akt, którego dopełni poza murami ziemskiej Jerozolimy otworzy bramy Jerozolimy niebieskiej. Nowego Miasta.** To On – Baranek ofiarny – godzien jest otworzyć bramę nieba i złamać okowy panoszącego się zła. Tylko On godzien jest *wziąć księgę i jej pieczęcie otworzyć, bo został zabity i nabył Bogu krwią swoją ludzi z każdego pokolenia, języka, ludu i narodu i uczynił ich Bogu naszym królestwem i kapłanami, że będą królować na ziemi w pokoju* (por. *Pismo Święte*, Ap 5). A Panu Bogu chodzi o zbawienie i przygotowanie właśnie takich ludzi, którzy naśladując Jego Syna służą pokojowi na ziemi. Pokój jednak często kosztuje. Chrystus Pan sam tego doświadczył i nadal doświadcza, jeszcze dziś, podczas tyłu wojen i tłących się konfliktów.

Gdy w listopadzie 1918 roku, po 123 latach nieobecności na mapach politycznych Europy, Polska odzyskiwała niepodległość, stało się to głównie dzięki **wytrwałości i ofiarności rodzin**, które w okresie niewoli przekazywały nowym generacjom młodych Polaków przywiązanie do tożsamości, języka i kultury Ojczyzny. Potem dzięki ofierze wielu młodych ludzi, bohaterów niepodległości, którzy nie zawahali się dać swojego zdrowia i życia na szalę wolności, zaprowadzono wreszcie pokój na tej ziemi. W latach pierwszej wojny światowej (1914–1918) wy-

stały sprzyjające okoliczności dla sprawy restytucji polskiej suwerenności. Zaborcy stanęli wówczas naprzeciwko siebie, łamiąc swą dotychczasową solidarność w kwestii polskiej. W 1918 r. rozwiązano ostatnie oddziały polskie walczące u boku tzw. państw centralnych. Polacy sprzymierzili się z państwami bloku Ententy. I to właśnie dlatego w styczniu 1918 r. w przemówieniu do kongresu USA prezydent Woodrow Wilson uznał odbudowę niepodległej Polski z dostępem do morza za **jeden z warunków zawarcia trwałego pokoju w Europie.**

Lwów był miastem wieloetnicznym, jak wieloetniczna była Polska Piastów i Jagiellonów. Łatwo było wówczas zauważyć nawet w rozgrywkach piłkarskich, że polski Lwów kibicował proporcjonalnie Pogoni albo Czarnym, że ukraiński Lwów stał murem za ST Ukraina, a żydowski Lwów dopingował swoją Hasmoneę. I w ten sposób nawet sport stał się emanacją uczuć narodowych, a te z kolei nader często bywały zakładnikiem skomplikowanej polityki. Kiedy więc doszło do zajęcia Lwowa przez ukraińskie wojska, Polska Organizacja Wojskowa rozpoczęła kontrakcję objęcia Lwowa w „posiadanie państwa polskiego”. W ten sposób doszło do ciężkich walk w mieście i wielu **ofiar poniesionych za to miasto przez ludność.** *W walkach we Lwowie i w obronie jego polskości do 22 listopada 1918 włącznie uczestniczyło z bronią w rękę lub w służbach pomocniczych 6022 osób, w tym 1374 uczniów szkół powszechnych i średnich oraz studentów. 2640 nie przekroczyło 25. roku życia, najmłodszy miał 9 lat. Zginęło lub zmarło od ran 439 żołnierzy i członków wojskowej służby sanitarnej, w tym 12 kobiet. 120 poległych było uczniami, a 76 studentami uczelni. Jeden z nich, 13-letni Antoś Petrykiewicz, złożył ofiarę życia – został najmłodszym w historii kawalerem Orderu *Virtuti Militari*<sup>1</sup>. Do powstania legendy*

<sup>1</sup> Michał Klimecki, *Polsko-ukraińska wojna o Lwów i Galicję Wschodnią 1918–1919*, Warszawa, Volumen, 2000, s. 139

Orląt Lwowskich przyczyniła się dodatkowo także postawa harcerek i harcerzy, zarówno tych lwowskich, jak i tych z całego kraju.

Dzisiejsza Ofiara Eucharystyczna dopomaga nam w zrozumieniu **życia i jego sensu jako ofiary**. I to ofiary konkretnej, np. za rodzinę, za miasto, za Ojczyznę. To przecież jasne dla nas, że nie chodzi o to, aby poszukiwać tutaj na ziemi szczęścia przez unikanie złej pogody, trudnego kontekstu historycznego, gorszej koniunktury ekonomicznej, przemilczanie utrapień czy kłopotów w Ojczyźnie lub wśród bliskich. **W życiu nie chodzi w ogóle o unikanie problemów i ofiar**. Należy je raczej mocno podejmować, a siebie angażować dla wielkich spraw, oddawać się najszlachetniejszym celom, wydawać na nie swoje bogactwa, talenty, siły, zdrowie, a nawet heroicznie ofiarować życie całe. Tak czyniły to Orleńskie i obrońcy Lwowa. **Ich ofiara miała sens**. Ojczyzna ziemska bowiem pamięta ich czyny, a Ojczyzna niebieska – ufamy – przyjęła ich do siebie.

Ofiara Eucharystii zbliża nas również, a może przede wszystkim, do zrozumienia intencji samego Jezusa w naszym życiu i rozpoznania własnej drogi do wiecznego Miasta, wiecznej Ojczyzny. **Po Krakowie, Lwowie, Warszawie czy Zakopanem przyjdzie kiedyś bowiem czas na niebieskie Jeruzalem**.

To docelowe nasze Miasto w niebie, które otworzył dla nas Jezus. Przez wprowadzanie pokoju wokół nas już tutaj na ziemi, przez zrezygnowanie z chęci odwetu, Bóg czyni z nas narzędzia pokoju; wybaczące, ale i ciągle potrafiące **ofiarować siebie** dla spraw najważniejszych. Amen.

**Stanisław Czerny**

# Pożegnanie Adama Guyrkowicza

**J**akże trudno żegnać się na zawsze. Choć od dłuższego już czasu nie zjawiałeś się na naszych spotkaniach w Sokole, to jednak zawsze byłeś obecny. Zawsze mogliśmy liczyć na słowa porady w rozwiązywaniu często niełatwych dla nas problemów. Zawsze można było do ciebie telefonować czy odwiedzić cię w domu. Dzisiaj żegnamy się, ale nasze wspólne dzieło będziemy kontynuować, zawsze o Tobie pamiętając.

Z Adamem Guyrkowiczem znamy się od dziecka. Wprawdzie losy rodzinne rozdzieliły nas, to po kilkudziesięciu latach spotkaliśmy się ponownie, tu w Krakowie. A połączył nas – jak zawsze – Lwów.

Adam urodził się 31 stycznia 1926 r. we Lwowie, w znanej kamienicy przy ul. Akademickiej 5 – tam, gdzie mieściła się znana lwowska cukiernia Zalewskich. We Lwowie rozpoczął też naukę w szkole powszechnej. Pochodził z rodziny o patriotycznych korzeniach. Jego ojciec, Ludomił Guyrkovich rodem ze Stanisławowa, był obrońcą Lwowa, architektem – absolwentem Politechniki Lwowskiej. W latach 30. XX wieku został budowniczym COP-u, a konkretnie Azotów w Mościcach. Tuż przed wojną zamieszkał w Sandomierzu. W czasie okupacji niemieckiej aktywnie działał w konspiracji AK.

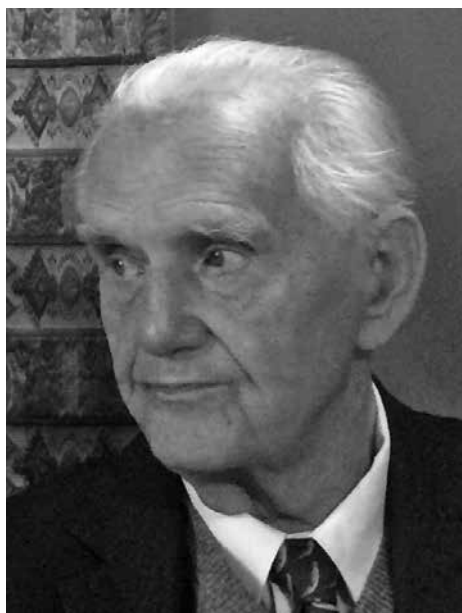
Ziemia kielecka okazała się drugim domem dla rodziny Guyrkovichów. Adam w Sandomierzu zakończył edukację szkoły podstawowej. W czasie okupacji niemieckiej uczęszczał na tajne komplety. Od 1942 r. działał – podobnie jak jego ojciec – w konspiracji. Najpierw w ZWZ, a potem w AK pod pseudonimem *Sęp*. Pełnił funkcję łącznika Obwodu Sandomierz z poszczególnymi placówkami na terenie powiatu sandomierskiego. Od 1943 r. był łącznikiem alarmowym Akcji *Burza* do spraw bezpieczeństwa na terenie Inspektoratu Sandomierz. W 1944 r. został aresztowany. Przeszedł przez wię-



---

**KS. DR DARIUSZ RAŚ**, infułat archidiecezji krakowskiej, archiprezbiter kościoła Mariackiego. Kierował krakowskim Radiem Plus, był wieloletnim sekretarzem ks. kardynała Stanisława Dziwisza, od listopada 2011 roku jest proboszczem Bazyliki Mariackiej w Krakowie.

---



zienia w Sandomierzu, Opatowie, Ostrowcu Świętokrzyskim. Szczęśliwie, po dwóch tygodniach, udało mu się uciec.

Czas powojenny nie był dla Adama łatwy. Z jednej strony zacierał ślady swej konspiracyjnej działalności, z drugiej musiał pracować i rozpoczynać dorosłe życie w nowej rzeczywistości. W 1947 roku zdał maturę i rozpoczął studia na warszawskiej uczelni w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, które w 1951 roku musiał przerwać, by zatrzeć za sobą ślady działalności konspiracyjnej. Było małżeństwo zawarte w 1950 r. i praca w różnych przedsiębiorstwach przemysłu spożywczego i chłodniczego oraz spółdzielczości pracy na kierowniczych stanowiskach.

W latach 80., po śmierci żony w 1984 r. i ponownym małżeństwie w 1986 r., w 1987 r. przeniósł się na stałe do Krakowa. Po powstaniu TML, które później przekształciło się w TMLiKPW, pojawił się w naszych szeregach. Od 1996 do 2000 r. był wiceprezesa zarządu oddziału krakowskiego, a od 2000 r. do końca swoich dni – prezesem naszego oddziału.

Wspólnie podejmowaliśmy najprzeróżniejsze akcje poczynwszy od zbierania książek, lekarstw, pieniędzy i potrzebnych rzeczy, które dostarczaliśmy Polakom żyjącym na Kresach, po podejmowanie współpracy

ze Wspólnotą Polską, która przez wiele lat niosła pomoc finansową i socjalną najbardziej potrzebującym Polakom na Kresach. Największą dumą Adama była akcja odnawiania grobów Polaków na Cmentarzu Łyczakowskim. Od wielu lat nie mógł już jeździć do Lwowa, by osobiście koordynować prace na cmentarzu, ponieważ prześladowały go kontuzje narządu ruchu, ale do ostatnich dni pytał, czy byliśmy we Lwowie, co załatwiliśmy. By móc prowadzić ten projekt łyczakowski, trzeba było pozyskiwać pieniądze. To była druga ważna akcja, jaką Adam zajmował się osobiście, organizując i koordynując kwestę w dniach listopadowych świąt na cmentarzach krakowskich. W końcu sam w tych kwestach, dopóki sił starczyło, uczestniczył. Adam był od 2000 r. członkiem Zarządu Głównego TMLiKPW. Podziwialiśmy jego zapał i siłę do pracy. Ileż to razy, schorowany, wspierając się na lasce, wsiadał do autobusu i jechał do Wrocławia, bo przecież na obradach Zarządu Głównego nie mogło nie być przedstawiciela z Krakowa.

Dziwnie brzmią słowa, że Adam był... Trudno się będzie przyzwyczaić do używania czasu przeszłego, gdy będziemy mówić o Adamie.

Będzie nam ciebie brakowało. Spoczywaj w pokoju, Adasiu.



# Kresowa stanica na polskich Łużycach

**Mówią, że walka o Lwów trwa nadal. Miasto „zawsze wierne” potrzebuje kolejnych pokoleń obrońców, i to oni stanęli na pierwszej linii frontu. Czy w takim układzie miano drugiego Lwowa należy się Wrocławowi? Z drami n. med. Zbigniewem i Krzysztofem Kopocińskimi, lekarzami 105. Kresowego Szpitala Wojskowego w Żarach na Ziemi Lubuskiej, rozmawia Aleksandra Solarewicz.**

**Aleksandra Solarewicz: Panowie należą już do pierwszego pokolenia urodzonego na zachodzie, a działają w kręgach kresowych**

**tak energicznie jak rodowici lwowianie. Skąd ta pasja?**

**Zbigniew Kopociński:** Źródłem zainteresowania kresami jest oczywiście pochodzenie naszej rodziny, która wywodzi się z dawnego województwa tarnopolskiego, powiatu Przemyślany i wsi Krosienko. Byli też krewni mieszkający także we Lwowie. Duża część naszej rodziny została wymordowana przez ukraińskich nacjonalistów z band UPA, a ci, którzy przeżyli, zostali po 1945 r. ekspatriowani na tzw. Ziemie Odzyskane. Od dziecka słyszeliśmy różne opowieści naszych starszych krewnych, szczególnie podczas świąt lub większych uroczystości rodzinnych, w których te nieznane nam Kresy odżywały i stanowiły dla nas jakąś magiczną krainę, niemal jak z *Trylogii*.

**AS: I wybrali się panowie do rodzinnego gniazda?**

**ZK:** Tak. W miarę upływu lat coraz bardziej interesowaliśmy się rodzinnym gniazdem, odbyliśmy kilka wypraw na Kresy, przeprowadziliśmy prace archiwalne, czego rezultatem była monografia poświęcona naszej rodzinie. Trudno nie być emocjonalnie związanym z Kresami, jeśli żyliśmy tam ponad



Uroczystość odsłonięcia tablicy ku czci oficerów–lekarzy Powstańców Warszawskich w 105. Kresowym Szpitalu Wojskowym, Żary (2015), na skraju w panterkach po lewej Krzysztof, po prawej Zbigniew, fot. K. Burzyński



Uroczystość odsłonięcia Krzyża Wołyńskiego na Cmentarzu Komunalnym w Żarach, 11 lipca 2016, fot. J. Wróbel

trzysta lat (przynajmniej tyle zachowało się w dokumentach) i dopiero dramat II wojny światowej sprawił masową expatriację na Dolny Śląsk czy Ziemię Lubuską. Dlatego od lat aktywnie działamy w organizacjach kresowych. Ja jestem prezesem oddziału żarskiego Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, mój brat Krzysztof jest zaś prezesem Klubu Tarnopolan Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Żarach i członkiem Zarządu Głównego TMLiKPW.

#### **Skąd wziął się Lwów w Żarach?**

**ZK:** Żary, położone na Ziemi Lubuskiej, nazywane są stolicą polskich Łuzyc. Znajdują się na obecnych kresach zachodnich RP. Po 1945 r. były to tereny należące do tzw. Ziemi Odzyskanych, na które przesiedlano Polaków expatriowanych z przejętych przez Sowieców, za zgodą i poparciem naszych „sojuszników” – USA i Wielkiej Brytanii, Kresów Wschodnich. Stąd mieszkańcami tego obszaru są w większości kresowianie, wywodzący się głównie z terenów południowo-wschodnich II RP, czyli województwa tarnopolskiego, lwowskiego, stanisławowskiego, w tym lwowianie.

**AS: W Żarach, jak sama nazwa wskazuje, iskra nie gaśnie...**

**ZK:** Dla nas są to ziemie ojczyste, toteż nie jest przypadkiem, że Żary słyną z działal-

ności licznych organizacji kresowych, w tym m.in. Kresowego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego im. Orłąt Lwowskich, Kresowego Koła Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, Klubu Tarnopolan Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch.

**AS: Jako lekarze wojskowi wydobywacie panowie z mroku niepamięci postaci lekarzy wojskowych z Kresów. Dlaczego?**

**ZK:** Jest to z całą pewnością forma spłaty długu całego środowiska polskich lekarzy wojskowych wobec medyków kresowych, którzy odegrali niebagatelną rolę zarówno w walkach o odzyskanie niepodległości w latach 1918–1921, jak w czasie II wojny światowej. A także pokazywanie właściwych wzorców dla młodych adeptów sztuki medycznej. Nie do przecenienia jest również udział lekarzy kresowych w odbudowie polskiej służby zdrowia po 1945 r., w szczególności tworzenia jej od zera na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Z przykrością należy stwierdzić, że przez całe lata ta tematyka kresowa była objęta cenzurą ze względu na ówczesną poprawność polityczną i obowiązującą „przyjaźń polsko-radziecką”, co uniemożliwiało właściwe uhonorowanie tych wielce zasłużonych osób. W chwili obecnej mamy znacznie lepsze warunki działania, choć



Cmentarz na Antokolu w Wilnie, porządkujemy grób Profesora Mariana Zdziechowskiego z USB (2016), po lewej Zbigniew, obok Krzysztof, fot. prof. J. Smaza

także terazniejsza „przyjaźń polsko-ukraińska”, budowana na fundamencie kłamstwa wołyńskiego i gloryfikacji ludobójców narodu polskiego, stwarzają pewne problemy, jednak z konsekwencją trzeba je przełamywać i te ogromne zaległości nadrabiać. Dla nas jest to także bardzo osobista sprawa, gdyż pracujemy w placówce, którą zakładali medycy z Kresów Wschodnich.

**AS: O! Proszę o tym opowiedzieć.**

**ZK:** Warto od razu podkreślić, że nasz szpital jest jedyną w polskiej historii placówką służby zdrowia (zarówno cywilnej, jak i wojskowej), która nosi zaszczytną nazwę wyróżniającą „Kresowy”. Wspólnie z bratem byliśmy w roku 2014 autorami wniosku do Ministra Obrony Narodowej o nadanie tej nazwy żarskiej lecznicy wojskowej, co było konsekwencją naszej pracy naukowej poświęconej dziejom szpitala. W trzech dużych monografiach (*105 Szpital Wojskowy w Żarach. Duma Ziemi Lubuskiej, Lekarze szpitala wojskowego w Żarach, Dzieje Wojskowej Komisji Lekarskiej w Żarach 1945–2015*) wykaza-

liśmy ogromny udział kresowian, w tym lwowiaków i absolwentów Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, w powstaniu i rozwoju tego zakładu leczniczego. Stąd pomysł uhonorowania ich dzieła poprzez nazwę „Kresowy”. Poza tym w licznych publikacjach staramy się przybliżyć sylwetki polskich lekarzy wojskowych wywodzących się z Kresów Wschodnich, którzy swoją postawą i dokonaniem zapisali się pozytywnie w histo-

rii Polski, Ziemi Lubuskiej czy poszczególnych miast. Kładziemy również nacisk na to, aby zwracać uwagę na zasługi „kresowe” wielu wybitnych medyków, o czym powszechnie często się nie pamięta. Bardzo dobrym przykładem jest tu postać gen. prof. Ludwika Rydygiera, światowej sławy chirurga, którego większość polskich lekarzy oczywiście kojarzy, ale już nieliczni wiedzą, że był obrońcą Lwowa, uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. i spoczął w mundurze generała Wojska Polskiego na Cmentarzu Obrońców Lwowa we Lwowie, a jego nagrobek uhonorowany był napisem „Obrońca Lwowa”.



Akcja „Świątelnko Pamięci dla Lwowa”, Krzysztof z kolejną grupą młodych żaran, którzy przynieśli znicze dla Orląt, 105. Kresowy Szpital Wojskowy, 2015, fot. Z. Kopociński

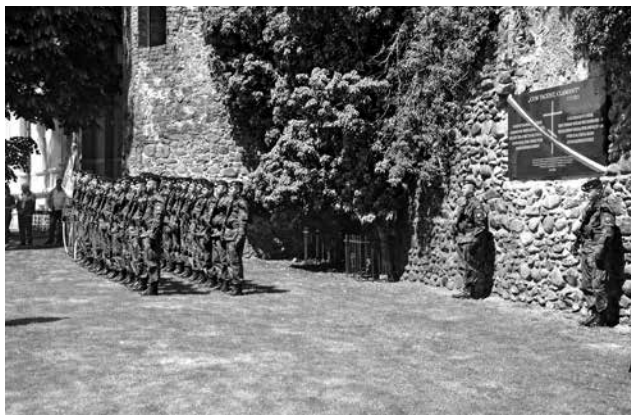


**AS:** Ze Lwowa do miasta Żary, zaś z Żar do Krakowa prowadziły drogi niektórych wojskowych lekarzy. Dobrym przykładem tego są losy płk. dr. Józefa Szarage czy płk. dr. Teofila Tadeusza Ziemskiego.

**ZK:** Obaj wymienieni przez Panią medycy są doskonałym przykładem udziału lekarzy kresowych w rozwoju wielu polskich szpitali wojskowych, w tym w Żarach i Krakowie. Ich biografie udało nam się wydobyć z mroków zapomnienia.

**AS: Proszę o kilka słów na ich temat.**

**ZK:** Rolę szczególną dla nas odegrał niewątpliwie płk dr Teofil Tadeusz Ziemiński, który w latach 1952–1957 był komendantem 105. Wojskowego Szpitala Garnizonowego w Żarach. Wywodzący się rodzinnie ze Strusowa w województwie tarnopolskim, absolwent Wydziału Lekarskiego UJK we Lwowie, uczestnik wojny obronnej 1939 r., w czasie okupacji nie opuścił Kresów Wschodnich, gdzie przeżył całą gehennę związaną z akcją ludobójstwa ludności polskiej przez bandy ukraińskich nacjonalistów z tzw. UPA. W 1944 r. wstąpił do II Armii Wojska Polskiego, brał udział w walkach pod Budziszynem, za co został uhonorowany Krzyżem Walecznych. Był to człowiek o duszy artysty, a jednocześnie jeden z najlepszych komendantów w historii naszej placówki. Zasłynął m.in. organizacją w naszym szpitalu koncertów fortepianowych ówczesnych najwybitniejszych, światowej sławy pianistów: prof. Stanisława Szpinalskiego i prof. Władysława Kędry. Warto podkreślić, że po odejściu dra Ziemskiego nigdy więcej w placówce nie odbyła się żadna impreza artystyczna tej rangi, a sam komendant jest do chwili obecnej bardzo mile wspominany, szczególnie przez byłych już pracowników. W 1957 r. odszedł do Krakowa, gdzie do końca aktywności zawodowej służył w 5. Wojskowym Szpitalu Rejonowym jako chirurg i anestezjolog. W dawnej stolicy odżyła jego wielka pasja malarska, został członkiem Klubu Plastyków przy Krakowskim Domu Kultury, miał kilka wystaw indywidualnych, wielokrotnie



Uroczystość odsłonięcia tablicy ku czci Sprawiedliwych Ukraińców, Żary (2015), fot. Z. Kopociński

uczestniczył w Ogólnopolskiej Poplenerowej Wystawie Malarstwa „Kraków – Świadectwo Historii”, gdzie jego prace ukazujące zabytki Krakowa zdobywały liczne nagrody. Ten wspaniały lekarz wojskowy, a jednocześnie ceniony artysta zmarł w 2004 r., pochowany został na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

**AS: A drugi z lekarzy?**

**ZK:** To płk dr Józef Szarage, który urodził się w 1897 r. w podlowskich Winnikach jako Chaim Scharage (nazwisko i imię zmienił w 1946 r.). Dr Szarage był absolwentem Wydziału Lekarskiego UJK we Lwowie. Niezwykle ciekawym epizodem jego życia była współpraca ze słynnym matematykiem z lwowskiej szkoły matematycznej prof. Hugonem Steinhausem podczas testowania tzw. introwizora, czyli aparatu do lokalizacji ciał obcych wewnątrz ludzkiego organizmu, można rzec pierwowzoru tomografu. W 1938 r. właśnie ówczesny Chaim Scharage, który już był wówczas znany we Lwowie jako dobry chirurg, dokonał po raz pierwszy usunięcia śrutu z makiety ludzkiej czaszki przy użyciu nowego urządzenia. W czasie okupacji przeżył koszmar pobytu w lwowskim getcie, gdzie pracował w przychodni dla ludności żydowskiej przy ulicy Zamarstynowskiej 103 (część jego krewnych została w getcie zamordowana przez ukraińskich nacjonalistów i Niemców). W 1944 r. zmobilizowany do II Armii Wojska Polskiego, został ordynatorem 8. Polowego Ruchomego Szpitala Chirurgicznego, czyli protoplasty obecnego 105. Kresowego Szpi-



Cmentarz Obrońców Lwowa, trzymamy baner „LSFTP” przypominający o figurach kamiennych lwów skradzionych z cmentarza, Lwów, październik 2017, fot. Z. Kopociński

tala Wojskowego w Żarach. Przeszedł cały szlak bojowy, szczególnie odznaczył się podczas zabezpieczania medycznego forsowania Nysy Łużyckiej w kwietniu 1945 r. W tym czasie głównie na jego barkach spoczywał obowiązek niesienia pomocy rannym polskim żołnierzom, których liczba kilkakrotnie przewyższała możliwości etatowe placówki. W 1946 r. został ordynatorem oddziału chirurgicznego Wojskowego Szpitala Okręgowego nr 5 w Krakowie, gdzie los zetknął go z mjr. dr. Mieczysławem Słabym, kawalerem Virtuti Militari, legendarnym lekarzem załogi Westerplatte. Obaj studiowali na UJK we Lwowie, więc mogli się już wcześniej znać. Mjr Słaby został aresztowany przez Wydział Informacji Wojskowej pod zarzutem współpracy z WiN, poddany ciężkiemu śledztwu, podczas którego jego stan zdrowia uległ gwałtownemu pogorszeniu. 11 marca 1948 r. przywieziono go pod strażą na oddział chirurgiczny krakowskiej lecznicy wojskowej. Dr Józef Szarage był tym lekarzem, który do końca walczył o życie swojego młodszego kolegi, jednak po czterech dniach, mimo nadludzkich wysiłków całego personelu, „lew z Westerplatte” skonał na jego rękach. Niezwykle tragiczne doświadczenia

życiowe naznaczyły los dr. Józefa Szarage, który mimo wszystkich okropieństw II wojny światowej starał się pozostać wierny powołaniu lekarskiemu, co pozwoliło mu zapisać się pozytywnie w historii żarskiej i krakowskiej lecznicy wojskowej.

**AS: Czy współpracują panowie z Krakowem, gdy chodzi o sprawy kresowe?**

**ZK:** Oczywiście podjęliśmy taką współpracę, w szczególności dotyczącą dziejów tych lekarzy naszej placówki, którzy w późniejszych latach zasillili kadrę 5. Wojskowego Szpitala Klinicznego im. gen. bryg. prof. Mariana Garlickiego. Warto podkreślić, że obecny komendant tej placówki, płk dr Artur Rydzki, tak jak my absolwent Wojskowej Akademii Medycznej im. gen. dyw. prof. Bolesława Szareckiego w Łodzi, to osoba doskonale rozumiejąca znaczenie dbałości o tradycję i pielęgnowanie pamięci o naszych poprzednikach. Wyrazem tego były ubiegłoroczne obchody setnej rocznicy powstania krakowskiej lecznicy wojskowej, które zostały przeprowadzone w sposób godny i uroczysty. Warto podkreślić, że w murach tej zacnej placówki znajduje się także tablica pamięci mjr. dr. Słabego i personelu szpitala, który walczył o jego życie. Mamy

zaszczyt również współpracować i korzystać z dokonań naukowych wielu wybitnych krakowskich naukowców.

**AS: Z kim na przykład panowie współpracują?**

**ZK:** Między innymi z dr Lucyną Kulińską, znakomitą autorką prac na temat ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów. Szczególnie cenimy sobie przyjaciół z krakowskiego Klubu Tarnopolan – Annę Madej, Czesława i Adama Wilczyńskich, a wspomniały Zjazd Tarnopolan zorganizowany przez nich w 2017 roku na zawsze pozostanie w naszej pamięci. Kiedy jesteśmy w Krakowie, korzystamy również z zasobów Muzeum Armii Krajowej oraz publikacji Środowiska Żołnierzy AK Okręgu Lwów, które w sposób ciągły i czynny zabiega o należną pamięć dla Lwowa. Rzeczą szczególnie godną podkreślenia jest fakt, że środowisko to traktuje walkę w obronie Lwowa jako ciągłość. Ta walka wciąż trwa, a miasto „Zawsze Wierne” potrzebuje kolejnych pokoleń nowych obrońców. Bardzo dobrą tradycją jest honorowanie osób zasłużonych w tej działalności „Krzyżem II Obrony Lwowa”, co jasno pokazuje, iż wciąż są Polacy, dla których znalezienie się w gronie Semper Fidelis jest powinnością i zaszczytem.

**AS: Jakie jeszcze lwowskie inicjatywy prowadzą panowie?**

**ZK:** W zeszłym roku przypadła setna rocznica Obrony Lwowa, toteż staraliśmy się w sposób najbardziej spektakularny przypomnieć o czynie Orłąt Lwowskich. W 2017 r. zwróciliśmy się z wnioskiem do władz Wrocławia o usypanie w setną rocznicę Obrony Lwowa w stolicy Dolnego Śląska, przez lata nazywanej dumnie drugim Lworem, Kopca Obrońców Lwowa. Miał to być wyraz wdzięczności, hołdu i szacunku dla wszystkich bohaterskich mieszkańców miasta „Zawsze Wiernego” za ich wielki wkład i poświęcenie

w dzieło odzyskania wolności przez nasz kraj oraz trwały element edukacji patriotycznej dla współczesnych i przyszłych pokoleń Polaków. Zwracaliśmy uwagę, iż decyzja o postawieniu takiego kopca byłaby nawiązaniem do najchwalebniejszych postaw polskich rajców ze Lwowa i Krakowa, którzy sprawowali tam władzę w XIX wieku. Mimo okupacji austriackiego zaborcy, Senat Rządzący Wolnego Miasta Krakowa w 1820 r. podjął uchwałę o usypaniu specjalnego kopca jako symbolicznego grobu Tadeusza Kościuszki. Podobną w treści decyzję podjęła Rada Miasta Lwowa w 1869 r., aby z okazji 300-lecia Unii Lubelskiej usypać wspomniały kopiec poświęcony temu wydarzeniu. Warto podkreślić, że obiekty te są najtrwalszymi pomnikami, które mimo licznych zawieruch dziejowych nie uległy zniszczeniu i do chwili obecnej sławią pamięć Tadeusza Kościuszki i fakt zawarcia Unii Lubelskiej oraz wielką mądrość i patriotyzm mieszkańców Krakowa i Lwowa. Jeżeli władze miejskie, działające pod presją zaborcy, mogły podejmować tak niezwykle patriotyczne i jednocześnie dalekowszyczne decyzje, coż miałyby stać na przeszkodzie współczesnym rajcom Wrocławia, działającym w po stokroć lepszych warunkach finansowych i technicznych?

**AS: I...?**

**ZK:** Wniosek nasz poparty niemal wszystkie organizacje kresowe oraz autorytety środowiska kresowego, a także zyskaliśmy



100. rocznica Obrony Lwowa, 22 listopada 2018 r., godz. 5.00, rynek w Żarach, po lewej Krzysztof, obok Zbigniew, na rękawie odznaka „Góry Stracenia”, fot. A. Żyworonek



Uroczystość odsłonięcia tablicy ku czci Profesora Bolesława Jałowego w 75. rocznicę śmierci, Kościół Garnizonowy w Żarach (2018), po lewej Zbigniew, po prawej Krzysztof, w centrum Anna Jałowy, synowa profesora B. Jałowego, fot. K. Burzyński

uznanie i deklarację pomocy ze strony wiceprezesa IPN prof. Krzysztofa Szwagrzyka. Niestety, władze miejskie nie stanęły na wysokości zadania, kompletnie zignorowały pomysł budowy Kopca Obrońców Lwowa, w roku setnej rocznicy tego wielkiego wydarzenia odsłonięto zaś we Wrocławiu tablicę poświęconą hitlerowskiemu kolaborantowi, bp. Szeptyckiemu. Pozostawimy to bez komentarza, bo cóż tu rzec.

**AS: Moja babcia ze Lwowa o takich władzach mówiła „zaprzaczy”.**

**ZK:** Postawa rajców wrocławskich nie pierwszy raz budzi w nas zaniepokojenie, gdyż od grubo ponad dwóch lat toczyliśmy z nimi batalię o nazwanie jednej z tamtejszych ulic bądź placów mianem mjr. dr. Lesława Ignacego Węgrzynowskiego, Szefa Sanitarnego Naczelnej Komendy Obrony Lwowa w listopadzie 1918 r., a w czasie II wojny światowej żołnierza AK, Naczelnego Lekarza I Rejonu Śródmieście podczas Powstania Warszawskiego. Jest to jedyna

osoba w polskiej historii, która pełniła wysoką funkcję zarówno w trakcie Obrony Lwowa, jak i w trakcie Powstania Warszawskiego. Po 1945 r., podobnie jak duża część inteligencji lwowskiej, znalazł się we Wrocławiu, gdzie był jednym z organizatorów Uniwersytetu Wrocławskiego. W latach czystek stalinowskich zwolniony z przyczyn politycznych, do końca życia pracował jako lekarz w Poradni Przeciwgruźliczej. Nasz wniosek o uhonorowanie Lesława Węgrzynowskiego nazwą ulicy we Wrocławiu w marcu 2017 r. poparł Krajowy Zjazd Delegatów Wojskowej Izby Lekarskiej, we wrześniu 2018 r. zaś Okręg Zielona Góra Światowego Związku Żołnierzy AK. Mamy głęboką nadzieję, że w końcu starania te zostaną uwieńczone sukcesem.

**AS: A teraz „oddajcie Lwy!”**

**ZK:** Właśnie. W latach 2014/2015 byliśmy inicjatorami akcji pn. „Oddajcie Orłętom Lwy”, której celem było doprowadzenie do pełnej i zgodnej z prawdą historyczną restauracji Cmentarza Obrońców Lwowa, w tym powrotu kamiennych lwów przed Pomnik Chwały, napisu „Obrońca Lwowa” na wszystkie krzyże nagrobne oraz odbudowy kolumnady Pomnika Chwały. Akcję tę

wsparli niemal wszystkie organizacje kresowe. Tylko na samej Ziemi Lubuskiej pod petycją do polskich władz podpisało się pięćdziesiąt tysięcy osób. Kropla draży skałę. Wiemy, iż Ukraińcy zwrócili na cmentarz ukradzione stamtąd figury lwów, choć okaleczone i pozbawione prawdziwej inskrypcji. Po czym zamknęli w drewnianych pudłach, a Polaków próbujących je uwolnić każą mandatami. Jednak nie tracimy nadziei, że kiedyś Cmentarz Obrońców Lwowa powróci do należytej formy.

**AS: Ja także w to wierzę. A Państwo nie ustają w inicjatywach...**

**ZK:** W 2018 r. przypadła także 75. rocznica śmierci prof. Bolesława Romana Jałowego z Wydziału Lekarskiego UJK, który został zastrzelony we Lwowie przez ukraińskiego nacjonalistę 1 października 1943 r. Wspólnie z bratem zaprojektowaliśmy i ufundowaliśmy tablicę ku czci tegoż naukowca. Zawisła ona w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Żarach, aby przypomnieć

o zapomnianej dziś, lub celowo pokrywanej niepamięcią, ofierze polskiego lekarza ze Lwowa.

**AS: W listopadzie 2018 minęła 100. rocznica obrony Lwowa. Jak uczciliście ją w Żarach?**

**ZK:** Obchody rozpoczęliśmy na żarskim rynku 22 listopada 2018 r. o 5.00 rano, czyli dokładnie sto lat po wywieszeniu przez por. dr. Romana Abrahama polskiej flagi na lwowskim ratuszu. Punktem kulminacyjnym uroczystości było wciągnięcie na maszt polskiej flagi, specjalnie przygotowany przez nas Lwowski Apel Pamięci oraz salwa honorowa... A rzeczą nie do zapomnienia był dźwięk dzwonów wszystkich żarskich świątyń, rozbrzmiewający o 5.00 rano ku czci bohaterów Obrońców Lwowa.

**AS: Moim zdaniem, teraz to Żary zasługują na miano drugiego Lwowa.**

**ZK:** Miło słyszeć. A wspominając o Romanie Abrahamie, dopowiemy tylko, że byliśmy autorami wniosku do prezydenta RP Andrzeja Dudy o pośmiertne odznaczenie Orderem Orła Białego dwóch legendarnych Obrońców Lwowa, generałów WP, Romana Abrahama i Mieczysława Boruty-Spiechowicza. Z przykrością należy odnotować fakt, że pan prezydent do tej pory nie podjął takiej decyzji, a przecież setna rocznica Obrony Lwowa byłaby najlepszą okazją dla uhonorowania tych wielkich Polaków.

**AS: Jakie jest młodsze pokolenie lwowian i kresowian? Można ich zaangażować w działania na rzecz pamięci kresowej? Czy jest szansa, że zastąpią swoich dziadków i rodziców w organizacjach kresowych?**

**ZK:** Z pewnym niepokojem obserwujemy młodsze pokolenie mieszkańców Ziemi Lubuskiej. Organizując od wielu lat coroczną zbiórkę zniczy na lwowskie nekropolie pn. „Świąteczna Pamięć dla Lwowa”, w której z roku na rok bierze udział coraz większa grupa młodzieży, dostrzegamy pewien postęp. Zaczynaliśmy od sytuacji, że duża część dzieci przynoszących znicze na pytanie, z czym im się kojarzy nazwa Orłęta Lwowskie, odpowiadała „Z niczym”. Każdej grupie młodzieży zawsze staramy się tłumaczyć, dla kogo są to znicze, co one oznaczają i po co je zbieramy. Efekt jest zauważalny, bo najmłodsze dzieci, które jeszcze jako przedszkolaki przynosiły do nas światełka, obecnie po kilku latach już jako gimnazjaliści dokładnie znają historię Orłąt

Lwowskich. Wiedzą, kim byli Jaś Kukawski, Jurek Bitschan czy Antos Petrykiewicz.

**AS: Więc dlaczego „niepokój”?**

**ZK:** Bo jest to proces ciągły. Niestety polskie szkoły w większości nie stają na wysokości zadania. Młodzież nie zdobywa tam wiedzy dotyczącej Lwowa i polskich Kresów Wschodnich, a co za tym idzie, pozbawiona jest odpowiednich wzorców wychowawczych. Z tego powodu ciężar takiej działalności biorą na siebie organizacje kresowe. Musimy podkreślić, że wszelkie nasze inicjatywy i pomysły bez wsparcia członków KTTK, Klubu Tarnopolan czy SUOZUN spaliłyby na panewce, a w tych organizacjach wiodącą rolę odgrywają osoby starsze, z których część urodziła się jeszcze na Kresach.

**AS: Państwa pomysł na młodzież?**

**ZK:** Z naszego doświadczenia wynika, że młodzież chętnie włącza się do tego typu działań, gdy może aktywnie wziąć w czymś udział, a mniejszym zainteresowaniem cieszą się wykłady i prelekcje. Stąd wypływa wniosek, że warto organizować przedsięwzięcia, w których już na poziomie wstępnym można zaangażować młode osoby, np. zbiórka zniczy, porządkowanie grobów żołnierskich, gry terenowe, projektowanie banerów etc. Oczywiście konieczne byłoby wsparcie instytucjonalne ze strony państwa polskiego i wzorowanie się na rozwiązaniach obecnych np. w Izraelu, gdzie bez odwiedzenia KL Auschwitz-Birkenau nie można zdobyć matury. Dla polskich uczniów programem obowiązkowym powinny być odwiedziny na Cmentarzu Obrońców Lwowa bądź, alternatywnie, Cmentarzu Wojskowym na Antokolu w Wilnie czy kwaterze wojskowej na wileńskiej Rossie. Liczymy na polskich posłów, choć obserwując ich mierne zaangażowanie na gruncie walki o pamięć i tożsamość narodową, coraz trudniej wykrzesać nutkę optymizmu. Lecz... „niech żywi nie tracą nadziei”!

---

**KRZYSZTOF I ZBIGNIEW KOPOCIŃSCY** (ur. 1970) – bracia bliźniacy, lekarze specjaliści chorób oczu, absolwenci Wojskowej Akademii Medycznej im. gen. dyw. prof. Bolesława Szareckiego w Łodzi. Na stałe związani ze 105. Kresowym Szpitalem Wojskowym w Żarach. Ich wspólną pasją jest historia medycyny, w szczególności dzieje polskiej wojskowej służby zdrowia.

---

**Daniel Stós** (tekst i fotografie)

## Wspomnienia z Kresów Południowo- -Wschodnich i Lwowa

**T**emat jest mi bliski od dzieciństwa, z opowieści dziadków, jako że moja rodzina od strony mamy pochodziła ze Lwowa.

Po raz pierwszy spędziłem tydzień we Lwowie w roku 2003 odkrywając brukowane uliczki, kamienice, kościoły, cmentarz Łyczakowski i Orłąt Lwowskich oraz inne zabytki. Już wtedy największe wrażenie z budowli sakralnych, które były mi zawsze bliskie, sprawiły katedra pw. Wniebowzięcia NMP, kościół Bernardynów wraz z zabytkowymi obwarowaniami oraz katedra ormiańska. Odwiedziłem również słynną Operę Lwowską, cerkiew Przemienienia Pańskiego, plac Mickiewicza i oczywiście pociągnąłem na szczęście za nos pomnik Nikifora. Od tego czasu do Lwowa i na kresy wracałem wielokrotnie. Zauważyłem, jak miasto zmienia się na lepsze za każdym kolejnym pobycem: coraz bardziej kolorowe kamienice, zadbane ulice oraz podświetlane zabytki.

W końcu zdecydowałem się na dłuższy wyjazd do Lwowa, tym razem naukowy, na zaproszenie profesora Dorozhynskyyego z Politechniki Lwowskiej. Wówczas zwiedziłem dogłębniej zarówno cmentarz Łyczna-



Kombatant AK – bohater Kresowiaków

kowski, jak i piękne centrum starego Lwowa. Operę i wybrane kamienice fotografowaliśmy metodami fotogrametrycznymi. Pozwoliło to na zbadanie stopnia osiadania na gruncie oraz szczegółowego przedstawienia architektonicznego opery na mapie. Profesor zabrał nas też do wnętrza Politechniki Lwowskiej i zaprezentował salę z instrumentami geodezyjnymi. Wrażenie zrobiła na nas bogato wyposażona pracownia komputerowa. Takim nowoczesnym wyposażeniem nie dysponowała wówczas nasza polska uczelnia techniczna.

Ponownie odwiedziłem Lwów przy okazji podróży na Podole w połączeniu ze zwiedzaniem zamku w Chocimiu. Była to wycieczka zorganizowana przez PTTK Rzeszów. Już wówczas zauważyłem, że miejsca te przyciągają niezwykle osoby. Ich cechy charakteru określiłbym jako otwartość, bezpośredniość, szczerłość i uśmiech. Gdy udaliśmy się do lokalnego browaru, słynącego smakiem z regionalnych piw, zorientowałem się, że wspólnym tematom nie ma końca. Dzięki dodatkowo poznanemu środowisku rdzennych lwowiaków polskiego pochodzenia mogłem już przyjeżdżać do nich w odwiedziny, nie zdając się na

Bohater drogi krzyżowej w Białym Kamieniu – obwódzie lwowskim



Wizyta duszpasterska w domu jednego z Kresowiaków



Polski katolik – przedstawiciel Kresów

biura podróży. Wówczas przekonałem się o ich nadzwyczajnej gościnności, chęci do rozmów z innymi osobami oraz miłości do Polski.

W 2007 roku Kresy przyciągnęły mnie na misje chrześcijańskie organizowane przez Legion Christi. Choć mieszkał w su-

rowych warunkach i odżywiały się ubogo, czas ten pozostał dla mnie niezapomniany z uwagi na charakter i głęboką wiarę zaprzyjaźnionych osób. Wystarczy wspomnieć, że gdy chodziliśmy w odwiedzinach do domów polskich rodzin kresowych, podobnie jak to ma miejsce w Polsce podczas tzw. kolędy duszpasterskiej, zdarzało się wiele razy, że proponowano nam ofiary pieniężne, których nie przyjmowaliśmy, a były to ofiary od serca ludzi naprawdę biednych. Mimo ich sytuacji materialnej często byliśmy goszczeni herbatą i pysznym ciastem. Takiej gościny nie mogliśmy odmówić. Religijność Polaków podziwiałem podczas nabożeństw, w czasie drogi krzyżowej, nieszpórów, ale i w zwykłym codziennym zachowaniu. Były to nie tylko ofiarność, pracowitość, gościnność, ale także cierpliwość, uprzejmość, wysoka kultura osobista oraz gospodarność. Wtedy też wpadłem na pomysł prowadzenia dokumentacji fotograficznej. Utrwalałem portrety ludzi, z którymi się spotykałem, fotografowałem krajobraz i architekturę. Po kilku latach dojrzałem do tego, iż nie chcę mieć tych zdjęć jedynie dla siebie, lecz temat Kresów przybliżyć szerszemu ogółowi społeczeństwa.

W kolejnych podróżach dotarłem do wybrzeża Morza Czarnego, nie omijając takich miast jak Winnica, Tarnopol i obowiązkowo

Tancerka ludowa we Lwowie



Kijów. Zawsze odnajdywałem tam polskość w kościołach, sklepach czy na ulicy.

W restauracjach zasmakowałem lokalnych potraw, m.in. dobrze znanych wszystkim pierogów ruskich oraz barszczu ukraińskiego, a także placków ziemniaczanych szeroko wykorzystywanych też do przyrządzenia derunów. Ponadto warto podkreślić, iż gdzie tylko zorientowano się, że jestem Polakiem, czy to po akcencie czy wypowiedzianych słowach, byłem przyjmowany ze szczerą życzliwością i gościnnością nie tylko przez osoby polskiego pochodzenia, ale również życzliwie przez Ukraińców i Rosjan.



„Dziewczynka z zapalkami na lwowskiej ulicy”

Chciałbym jeszcze dodać, że obecnie podróżując do wymienionych wyżej miejsc, łatwo wybieram rodzaj transportu, gdyż polepszyła się jakość i ilość połączeń w porównaniu jeszcze z przełomem XX i XXI w., a można też spotkać liczne promocje, np. samolotowe.

Myszę, że powyższy moja opowieść zachęci czytelnika do odwiedzenia Kresów Południowo-Wschodnich i dodatkowo do odbycia podróży sentymentalnej bez wychodzenia z domu.

**Piotr Boron**

## POCZĄTKI KONFEDERACJI BARSKIEJ BYŁY TEŻ WE LWOWIE

**P**isząc ten tekst w roku jubileuszowym 250-lecia zawiązania konfederacji barskiej, nie kryję szacunku dla tego wielkiego wybuchu patriotyzmu. Nie mogę też nadziwić się, że nawet po tylu latach i w wolnej Polsce ma ona tak wielu przeciwników. Niewdzięczność, sąsiadująca z ignorancją, musi prowokować zarówno do walki o przywrócenie wiedzy o niej, jak i należynej czci, jaką cieszyła się przez ponad pół wieku w polskiej tradycji, zanim poglądy na nią, wypływające z Petersburga i od polskich słuźalców Katarzyny II, zdały się przeważać w ocenach, które dziś pokutują.

Konfederacja barska była pierwszym ogólnonarodowym zrywem powstańczym przeciwko rosyjskiej dominacji w Rzeczypospolitej. Świadczyła o podjęciu realnych działań w kierunku odzyskania suwerenności. Nie wiemy dokładnie, jakie uczucia towarzyszyły ówczesnym politykom i możnym. Nie wiemy, jak faktycznie wszyscy oceniali ówczesną korupcję polityczną, przejawiającą się w tzw. jurgieltach, czyli podarunkach pieniężnych, które ambasador Katarzyny II rozdawał w celu wykonywania dla niego konkretnych przysług. Znamy nieco konkretnych zdarzeń, które mogą być podstawą do wyciągania wniosków z tamtych lat. Na jednym z posiedzeń sejmu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej w 1767 roku wszechwładny i arogancki ambasador imperatorowej Mikołaj Replin, znudzony obradami, zwrócił się do jednego ze swoich zauszniczków słowami „Skaży temu postu, niechaj tak mnogo ne gawory, bo wozmiet w sraku w piwnicziu”. Innym razem krzyknął nawet osobiście do przemawiającego postu: „Pan Bohomolec, paszoł ty precz na swajo miasto!” Znamy detale z jego „sjekrietnych rozchodów”, że



w 1767 roku dał niejakiemu Grabowskiemu osiem tysięcy dukatów na finansowanie konfederacji słuńskiej, Brzostowskiemu tysiąc dukatów na deputacje konfederackie, a posłowi kijowskiemu Radziwiłłowi „na życie” 200 dukatów. Skorumpowanemu ks. Nauszczyńskiemu wypłacił 40 dukatów za szpiegowanie. Wiemy nawet, ile kosztowało go sławne porwanie najwyższych dostojników polskich (biskupa Kajetana Sołtyka, hetmana Rzewuskiego i in.), którzy nie chcieli mu się podporządkować. Wynajem trzech karet dla ich porwania kosztował go 150 dukatów, 492 wydał na „koszta ich podróży”, 163 dukaty zaś na „bieliznę i naczynia” dla tychże.

Takie postępowanie u niektórych budziło rezygnację, przejawiającą się w abstrahowaniu od życia politycznego i przyjęciu konsumpcyjnego stylu życia, jak to opisał Franciszek Dzierżykraj Morawski w zgrabnej satyrze pt. *Magnat*:

Pewien z magnatów, słowem, że magnat  
nie lada,  
Co dobrze pije, jeszcze lepiej jada,  
Chcąc po obiedzie użyć przyjemnego chłodu  
Zszedł do ogrodu.  
I gdy tam się widokiem przyrodzenia poił,

Tak sobie roił:  
Jak mnie też bawi ta tłuszcza uliczna,  
Co ją martwi byle zmiana polityczna.  
Co do mnie, zdania nie odmienię,  
Strawność żołądka ponad wszystko cenię.  
I każdy z rozsądnych przyzna,  
Że owo bóstwo Ojczyzna  
Jest to czyste urojenie!  
Bo gdy spoczywam pod tym drzewem,  
Pod tym chłodem,  
Gdy mi ta ziemia jak wprzód chleb rodzi,  
Co mi do tego, kto tam po niej chodzi  
I kto tam rządzi narodem.  
Wtem świnią, co w pobliskiej kałuży leżała,  
Gdy już wszystko wysłuchała,  
Rzekła: „Jasny Panie!  
Słowo w słowo moje zdanie!”

Wśród rosnącego oburzenia na panoszenie się carskiego ambasadora w Polsce doszło pewnego razu do charakterystycznego spięcia pomiędzy buńczucznym Repinem a nastawionym patriotycznie Józefem Pułaskim, uchodzącym za jednego z najlepszych adwokatów w Warszawie. Według relacji Stanisława Lenkiewicza, Pułaski miał w ostrej dyskusji na pogroźki Repnina odpowiedzieć: „Mości książe raczy się mylić!”



Korneli Szlegel, Pułaski w Barze



Niech stanie i 100 tysięcy, naród wolny krew przeleje! Nasze stare, z trzynastego wieku zawołanie głosi, że należy raczej dom spalić i z bronią w rękę po lasach się poniewierać, niżli samowładnej mocy się poddać!" Repnin odburknął: „Jednym kopnięciem usunę takich przeciwników!”, a Józef Pułaski zakończył: „Strzeż się księżę, aby ostatnia na was nie wybiła godzina!”

Sprzeciwienie się Repninowi oznaczało w tamtych czasach bardzo realną groźbę utraty życia lub uprowadzenia do Rosji przez rosyjskich zbirów. Józef Pułaski, rozumiejąc to, był zmuszony do ukrycia się przed zemstą wrogów. Ponieważ jednak znał on różnych ludzi, wyznających jego hierarchię wartości oraz podzielających jego oburzenie na Repnina i króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, więc postanowił skupić patriotów wokół obrony ojczyzny i wiary katolickiej. Udał się zatem z Warszawy do Lwowa, gdzie umówił się na naradę z późniejszymi przywódcami konfederacji barskiej. Możliwe, że pierwotnie nawet planowali, że ogłoszą konfederację właśnie we Lwowie (teza Janusza Roszki), ale ponieważ stacjonowa-

ło tam zbyt wielu zwolenników króla i carskiego ambasadora, a przede wszystkim komendant załogi zamku lwowskiego Korytowski oraz generał Kreczetnikow z rosyjskim wojskiem, więc postanowili, że będą kontynuować działania w niedalekim Kukizowie (majątku patriotki Anny Jabłonowskiej), a następnie w przygranicznym Barze, gdzie będą mieli więcej czasu na ukonstytuowanie się spontanicznego ruchu i zgromadzenie wojsk, zanim organizacja mogłaby być zduszona w zarodku.

Za realny początek konfederacji możemy uznać jednak naradę jej późniejszych przywódców we Lwowie. Zjazdowi zwolenników szerokiego zorganizowania się antyrepinowskiej opozycji sprzyjały coroczne targi we Lwowie, które odbywały się po święcie Trzech Króli. Przybycie nawet setek ludzi do metropolitalnego Lwowa w tym czasie nie powinno było budzić podejrzeń, bo „rozplywali się” oni wśród gości tzw. „kontraktów lwowskich”. Nowy Rok spędził Józef Pułaski u ks. arcybiskupa Sierakowskiego

w jego rezydencji pod Lwowem, a tymczasem jego synowie Franciszek i Kazimierz rozesłani zostali z poleceniami przygotować wojska i sojuszników.

We Lwowie zasiedli zatem do przygotowań przede wszystkim Michał Hieronim Krasieński (późniejszy marszałek konfederacji), Józef Pułaski (późniejszy marszałek związku zbrojnego konfederacji), abp Sierakowski, a i prawdopodobnie charyzmatyczny przywódca duchowy konfederacji barskiej ojciec Marek Jandołowicz, karmelita z Berdyczowa.

Nie udało się do dzisiaj i może nigdy już nie uda się ustalić, gdzie powstały pierwsze dokumenty konfederacji, a gdzie je udoskonalano, z czym przyjechali do Lwowa, a co dopiero tam sformułowali. Z dużym prawdopodobieństwem można jednak uznać, że właśnie we Lwowie zebrane pomysły ułożyły się w akt, który przed 29 lutego 1768 roku szlachta skrycie podpisywała pod tytułem *Konfederacja prawowiernych chrześcijan katolickich rzymskich*, deklarując przystąpienie do szczytnego przedsięwzięcia. Co ciekawe, w rocie przysięgi

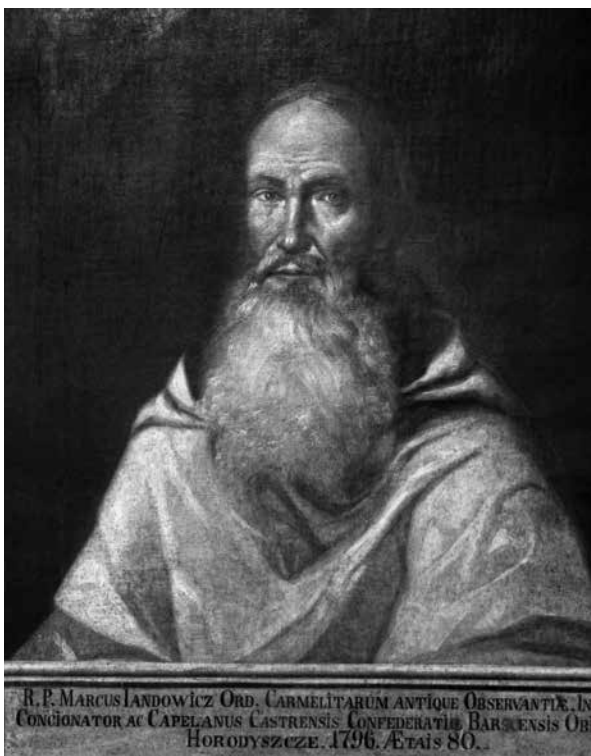
zawarto stwierdzenie, że z raz podpisanej nie może zwolnić nawet spowiednik.

Rycerstwo zobowiązywało się: „wiary świętej katolickiej życiem i krwią bronić”, a skoro się jest rycerzem Chrystusowym, to: „żadnych gwałtów, rabunków między katolikami, żydami, lutrami nie czynić”, „komendy choćby z hazardem życia słuchać”, „chorągwi z wizerunkami Pana Jezusa ukrzyżowanego i Matki Najświętszej bronić do ostatka” nawet „trup na trupie padając”. Ponadto „żadnej korespondencji ani porozumienia nie mieć z nieprzyjaciółmi wiary tudzież z niesprzysiężonymi katolikami”.

Mundur miał mieć na lewym boku znak krzyża świętego, by przypominał, że „płaca nasza Chrystus i Opatrzność Jego najświętsza”. Czapki miały mieć stary wzór tatarski (z czasem nazwano je „konfederatkami”). Każdy konfederat miał obowiązek zgłosić się z parą koni, pistoletami i bronią białą (najlepiej pałaszem) oraz proporczykiem. Za barwę mundurów obrano ciemną zieleń lub czerni, ale każdy miał sprawić sobie własny mundur, więc organizatorzy liczyli na przybycie we własnych strojach. Zalecano, aby nie brać ze sobą wozów, gdyż przewidywano marsze komunikiem (bez taborów) dla sprawniejszej mobilności.

Każdy rycerz miał czuć się zobowiązanym do pomocy drugiemu, gdy ten będzie potrzebował wsparcia. Hasłem generalnym konfederacji ustanowiono: „Jezus – Maryja”.

Wiemy skądinąd, że w tym samym czasie zwolennicy króla i ambasadora kaptowali dla swoich zwolenników i także zbierali rewersy na wierność. Z tego wynika, że i oni przewidywali szeroki zasięg walk o kształt ideowy Rzeczypospolitej i jej suwerenność. Styczniowe ustalenia przywódców konfederacji dały po miesiącu efekt w postaci zjazdu braci szlacheckiej, ale i innych stanów do Baru, gdzie 29 lutego 1768 roku uroczyście zawiązano konfederację. Z listu Michała Krasieńskiego do Józefa Pułaskiego



Ojciec Marek Jandowicz, karmelita z Berdyczowa

dowiadujemy się, że spotkali się oni w Barze dopiero w przeddzień zawiązania konfederacji, a zatem to małe miasto naznaczono w ostatniej chwili albo do końca bardzo skutecznie utajniano o nim wiadomości.

Decyzja o oficjalnym zawiązaniu konfederacji w przygranicznym Barze była podyktowana wieloma względami bieżącymi, ale z dalekiej perspektywy historyka można snuć i taki wniosek, że gdyby udało się właśnie Lwów uczynić jej centrum i wzięłaby nazwę od tak sławnego miasta, to jej autorytet i wówczas, i w oczach potomnych zyskałby niepomiarne na znaczeniu, a i przy okazji uniknięto by śmiesznych skojarzeń z „barem”.

Lwów stał się jeszcze w późniejszym czasie areną zmagania konfederackich, ale to już całkiem inna historia...

---

**PIOTR BOROŃ** – absolwent i nauczyciel V LO w Krakowie, historyk (UJ), przewodniczący Sejmiku Małopolskiego (2002–2005), senator RP 2005–2007, minister prezydenta Lecha Kaczyńskiego w KRRiT (2007–2010).

---

Hanna Wietrzny

# Opowiadanie mojej mamy

**Prezentujemy fragment książki Hanny Wietrzny, która zawiera wspomnienia jej mamy. Hanna Wietrzny pisze opowiadania i wiersze. Jej pasją i zawodem było aktorstwo, jest absolwentką Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Zawodowe życie związała ze scenami krakowskich teatrów. Występowała w Teatrze Ziemi Krakowskiej w Tarnowie, Teatrze im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, Starym Teatrze im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie, Teatrze Ludowym w Nowej Hucie, a także Teatrze Akne. Jej wiersze publikowaliśmy na łamach naszego kwartalnika.**

Wracając do spraw po 1915 roku, do-  
stałam się z moją młodszą siostrą Jadwigą  
(gdyż starsza siostra Zosia została w domu  
i uczyła się prywatnie) do klasztoru Bene-  
dyktynek. Było nam tam bardzo dobrze.  
Nabrałam wielkiej ochoty do nauki i do pro-  
dowania, tak że świadectwo z ósmej klasy  
dostałam bardzo ładne, a z dziewiątej już  
rzeczywiście niezwykłe. To była piąta kla-  
sa wydziałowa. Liczyła trzynaście uczennic  
i prócz jednej uczennicy, która miała zado-  
walające dwie noty, reszta uczennic miała  
noty celujące i chwalebne. Moje świadectwo  
tak wyglądało: celujące, celujące aż do koń-  
ca, jedno chwalebne. Zostałyśmy zapisane  
w złotej księdze tej szkoły klasztornej jako  
wybitnie zdolne i pilne uczennice. Uczyły-  
śmy się rzeczywiście jedna przed drugą.  
Po prostu chcieliśmy zrobić przyjemność  
naszej matce przełożonej, która nas uczyła  
pedagogiki, historii kultury i sztuki, bo bar-  
dzo, bardzo ją lubiliśmy. To była niezwykle  
miła kobieta, matka nas wszystkich, która  
martwiła się najmniejszym naszym wykro-  
czeniem, jakimś wybrykiem niewielkim. Tak  
się martwiła, że żal było patrzeć na nią. Dla  
niej uczyliśmy się z całej duszy.

Później mama umieściła mnie w pensjo-  
nacie Strzałkowskiej. Prywatne seminarium,

gimnazjum i szkoła podstawowa. Tam byłam  
na pensji, a ponieważ dyrektorka wiedzia-  
ła, że skończyłam 5 klas wydziałowych, po-  
wiedziała, że mogę od razu pójść na drugi  
rok. Niemądre to posunięcie, dlatego że nie  
miałam pojęcia o matematyce, która przypa-  
dła na pierwszy rok i to był mój późniejszy  
mankament. Miałam profesora, który pisał na  
tablicy wzór i według tego wzoru kazał uczyć  
się i pisać zadania. Wykułam na pamięć wzór  
i potem mogłam dobrze odpowiadać. Ale ma-  
tematyki do dzisiejszego dnia nie rozumiem  
i nie chcę mieć z nią nic do czynienia, mimo  
tego, że jako dziecko bardzo ją lubiałam. No,  
ale to były rachunki, a nie matematyka.

Moje rodzeństwo: siostra Zosia, młodsza  
ode mnie Jadwiga, po czterech latach urodził  
się Tadeusz, późniejszy lotnik, major lotnic-  
twa RAF-u w Anglii, Władziu, który zmarł,  
i Józiu. Zosia miała zdolności do gospo-  
darstwa domowego, do szycia, do robienia  
kapeluszy, haftowania. W ogóle nadawała  
się doskonale na dobrą panią domu. Ja mia-  
łam zdolności do nauki. Najmłodsza siostra  
Wisia również. Tadzium był zdolny, lecz mniej  
pilny, no i Józium też.

Bardzo dobrze się czułam u Pani Strzał-  
kowskiej, ale mając lat piętnaście zaczęłam  
palić papierosy. Namówił mnie do tego kuzyn  
i moja niby pierwsza miłość i pierwszy narze-  
czony, Zdzisław. Uczył się wtedy w gimna-  
zjum, zdaje się w siódmej czy ósmej klasie.  
Wszyscy nas już uważali za narzeczonych,  
zwłaszcza jego matka i ojciec. Trochę może  
podśmiewali się z nas, ale w każdym razie  
uznawali nasze narzeczeństwo.

Paliłam papierosy u Strzałkowskiej w sy-  
pialni. Miałyśmy stoliczek nocny i naturalnie  
tam je sobie gasiłam. Pamiętam, że kiedyś  
przełożona szukała po szafkach, czy mamy  
porządek i znalazła całą stertę tych zduszonych  
papierosów. To był kochany człowiek,  
zresztą ona sama paliła, przyszła do mnie  
i powiedziała:

– Janka, jeżeli chcesz palić, to pal, ale  
nie zanieczyszczaj szafki nocnej.

Zawstydziłam się wtedy okropnie.

Nauka w seminarium (poza matematy-  
ką, której nie lubiałam, ale noty miałam do-  
bre) szła mi dobrze. Lubiałam język polski,  
przedmioty pedagogiczne, biologię, histo-  
rię i fizykę. Z języków nadobowiązkowych  
wykładano język francuski, a z obowiązko-  
wych – niemiecki i ruski. Niemiecki szedł mi

bardzo dobrze, bo w okresie wojny miałam możliwość rozmawiania z oficerami stojącymi u nas na kwaterze, a po rusku chłopci mówili, choć byli Polakami, gdyż język ruski uważali za chłopski, a język polski za pański.

Nadeszły lata 1917–1918 i powstała Polska po ponad stu latach niewoli. Ale najpierw w Rosji wybuchła rewolucja. Lenin chciał za wszelką cenę uniknąć dalszego wyniszczania narodu rosyjskiego i głosił hasła pokoju. Niemcom było to na rękę, bo całą siłę swej armii mogli skierować na zachód. Podpisali w Brześciu Litewskim układ z Rosją, bardzo niekorzystny dla Polaków. Wywołało to straszliwe wrzenie całego społeczeństwa polskiego. We Lwowie spontanicznie zaczęły się demonstracje przeciw Niemcom. Do Strzałkowskiej wpadło kilku studentów żądając, by cała szkoła poszła wziąć udział w demonstracji. Pani Strzałkowska gdzieś zniknęła, dyrektor Bogusz również się schował, a my biegałyśmy od klasy do klasy nawołując, by wszystkie uczennice wychodziły ze szkoły, żeby przeciwko Niemcom wystąpić. Wpadłam do sąsiedniej klasy, gdzie uczył Niemiec, którego nazywali wszyscy pomidorem, dlatego że się okropnie czerwienił na policzkach i twarz miał okrągłą rzeczywiście jak pomidor. Obraził się. Później dowiadywał się, kim jestem, prawdopodobnie poszedł na skargę do Strzałkowskiej, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Nikt mi nawet wymówki nie zrobił.

Naturalnie cała szkoła spontanicznie, w wielkim porządku, wyszła. Poszliśmy przez ulicę Zieloną, Batorego, na plac Akademicki, gdzie stoi pomnik Mickiewicza i tam zatrzymała nas austriacka policja konna. Właściwie wszyscy tam byli Polakami. Więc oficer krzyknął do nas, żebyśmy się wycofali, rozeszli, bo ma rozkaz strzelać. Naturalnie dostało mu się od pachołków austriackich i pachołków niemieckich. Dziewczyna, która szła z Niemcem, dostała patykami. A myśmy szli wszyscy i śpiewali pieśni: *Nie rzucim ziemi skąd nasz Ród, Jeszcze Polska nie zginęła i Oto dziś dzień krwi i chwały*. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że na ulicy Fredry, gdzie była ambasada czy konsulat niemiecki, cała masa ludzi demonstrowała i tam posypały się strzały. Niemcy strzelali do ludności. Jeden student został ranny w głowę, a drugi zabity. To wywołało okropne wrzenie. Pogrzeb był manifestacyjny, po prostu cały Lwów wziął w nim udział.

Pamiętam, że już byłam na górze, na ulicy Janowskiej (a Janowska łączyła się z Kazimierzowską) i daleko, daleko na Kazimierzowskiej jeszcze nie widziałam końca pochodu. Mówiono, że cały cmentarz został obstawiony żołnierzami z karabinami maszynowymi, na wypadek gdyby jakiś tumult się zrobił. Ale wszyscy z wielką powagą uczestniczyli w pogrzebie.

Później nauka szła swoim trybem aż do ostatniego września, kiedy zachorowałam.



Przed Zakładem Naukowym Zofii Strzałkowskiej we Lwowie.  
Mama autorki w górnym rzędzie, trzecia od lewej



ińskie. Wysiadła na Łyczakowie (stacja Lwów-Łyczaków) i przez front ukraiński dostała się do tej części Lwowa, który pozostawał w rękach polskich. Oczywiście cała rodzina babcia – prócz

Świadectwo dojrzałości  
mamy autorki

Pamiętam, że zapytała mnie przełożona z lekcji, ja wstałam, poczułam jakiś dziwny zawrót głowy i mówię:

– Nie wiem, co się ze mną dzieje, jestem słaba.

I w tej chwili ona kazała mi pójść na górę do sypialni. Rozebrały mnie i przeniosły do izolatki. Zastałam tam trzy koleżanki. Okazało się, że to grypa. Słynna grypa hiszpanka. Naturalnie grypa się rozprzestrzeniła momentalnie. Wszystkich wygłodziła wojna, bo przecież porcje jedzenia były minimalne, choć ja nie mogę narzekać. Mama moja wysyłała nam chleb, mięso, cielęcinę, cukier, masło, rozmaite wiktuały, jajka, więc jadłam nie najgorzej i nawet Strzałkowska starała się przynajmniej jarzynami i owocami uzupełnić nasz posiłek.

Bardzo ciężko przechodziłam tę grypę. Miałam ognisko zapalne w prawym płucu i wielką gorączkę. Leczył nas lekarz, kuzyn pani Strzałkowskiej. W końcu jakoś zaczęłam się ruszać, wysłali depeszę do mojej matki i mama przyjechała. Równocześnie brat mój Tadeusz, najstarszy z chłopców, przebywający w internacie, również zachorował na hiszpankę. Wszystkie szkoły zostały zamknięte i rozpuszczono nas do domów. Wróciłam do Świrza ostatniego października.

W tym czasie Zosia wyjechała do Lwowa, mijając się z nami. 1 listopada dowiedzieliśmy się, że Ukraińcy napadli na Lwów. Austriacy dali im broń przeciw Polakom (jak zwykle „dziel i rządź”). Austria zawsze w ten sposób postępowała. Zaczęła się wojna polsko-ukraińska. Siostra Zosia już się przedzierała do Lwowa przez okopy ukra-

dzianka i babcia, starszych ludzi – poszła walczyć o Lwów. Brakowało broni, brakowało amunicji, a mimo wszystko walka trwała dość długo. Ja już się dostać do Lwowa nie mogłam.

A w Świrzu Ukraińcy wyrzucili nas ze szkoły. Dobrze, że znaleźliśmy locum w pałacyku na błotach, który postawiono dla młodszego hrabiego Mieczysława Lamezana, żeby pilnował robót przy odbudowie zamku. Wyjechał, więc było wolne mieszkanie. Ich kamerdyner otworzył nam i tam zamieszkaliśmy. A tymczasem w szkole zasiadła ukraińska nauczycielka. Walki we Lwowie trwały aż do kwietnia, 1 listopada się zaczęło, a w kwietniu Lwów został uwolniony.

We Lwowie zginęła moja ciotka od bomby czy granatu ukraińskiego, kiedy szła na cmentarz z córeczką na grób męża. Mnóstwo znajomych zginęło wtedy we Lwowie. Siostra Zosia poznała tam późniejszego mojego szwagra, zaręczyli się i przyjechali do Świrza, kiedy Świrz został uwolniony. Cieszyliśmy się bardzo, ale był już maj i ja cały rok miałam stracony. Od października do maja nie chodziłam do szkoły.

Moje koleżanki już w kwietniu znalazły się w szkole i uczyły się. Nie wiedziałam co robić. W każdym razie pierwszym pociągiem, jakim mogłam się dostać do Lwowa (wzięli mnie oficerowie do swojego wagonu, bo szły wojska do Lwowa z rozmaitych stron Polski), dojechałam tam. U Strzałkowskiej dowiedziałam się, że matura będzie za trzy dni. Zrozpaczona nie wiedziałam, co robić. Poszłam do przełożonej i mówię, że absolutnie nie zdam matury. A ona:

– Byłaś zawsze bardzo dobrą uczennicą, więc na pewno zdasz, a jeżeli nie zdasz teraz, to zdasz po wakacjach, ale próbuj.

– No dobrze, ale czy mnie wszyscy puszcza?

– Idź do profesorów i zapytaj.

Poszłam do mojej wychowawczynie, doktor Bergerowej. Ona mówi:

– Pomogę ci w ruskim.

Ale ja ruski pamiętałam. Poszłam do profesora Medyńskiego, historyka, który uczył nas też geografii, a on mówi:

– Ja bardzo dobry ci daję bez niczego (czy „pani” daję, bo oni do nas wszyscy mówili „pani”), bo przecież pani zawsze powtarzała moje wykłady, zawsze u mnie miała pani bardzo dobrze, więc daję na świadectwie końcowym bardzo dobry.

No i na maturalnym, bo nie musiałam już zdawać tego przedmiotu. Poszłam do wszystkich i wszyscy mówili, że jako bardzo dobra uczennica nie powinnam się obawiać. Ale poszłam do profesora Rybarczyka. Nie wiedziałam, że to Ukrainiec. Mówię:

– Bardzo przepraszam, panie profesorze, co ja mam zrobić? Chcę zasiać do matury, ale w czasie wojny byłam w Świrzu i to mi przeszkodziło w nauce.

– A cóż ja mam pani poradzić – on na to.

– Proszę, panie profesorze, o jakąś notę, przecież miałam zawsze dobrze albo bardzo dobrze z fizyki.

– Najwyżej mogę pani wpisać dostatecznie. Jak pani przy maturze zda, to w porządku. Nie mam nic przeciwko temu.

No więc zaliczenia już miałam. Ale za co ja mam się wziąć? Za matematykę absolutnie nie, bo ja nic nie rozumiałam, a jeżeli chodzi o fizykę, to sobie przeglądałam i okazało się, że bardzo dużo zapomniałam, ale mimo wszystko, ponieważ lubiłam ten przedmiot, zdawało mi się, że odpowiem dobrze.

Przysłała matura. Najpierw pisemna. Dostaliśmy temat, który zapamiętałam: „Zadania kobiety w obecnej dobie”. Na ten temat mogłam napisać bardzo dużo. Miałam taką zapaloną głowę: ile trzeba zrobić, bo przecież Polska powstała. Uważałam, że kobiety powinny wziąć udział w każdej pracy, żeby tylko Polska się rozwinęła. Byłam straszną patriotką po ojcu i po matce.

Napisałam pierwsza zadanie i oddałam, a wtedy siedział tam ksiądz nasz, który je przeczytał. Powiedział, że jest wspaniale.

Potem ruskie i niemieckie. W niemieckim pomogła mi koleżanka, chociaż ja napisałam na brudno niezłe, ona mi poprawiła. Dostałam z tego bardzo dobrą notę, potem ruski i to samo. Matura pisemna poszła mi zupełnie dobrze. Przyszła matura ustna. Tutaj miałyśmy już tydzień czasu. Zaczęło się od geografii i historii. Zdałam. Potem język polski. Traf chciał, że profesor dał mi przeczytać z *Kolokacji* bal u państwa Płachtów. Ta książka była u nas w domu u babci i zawsze przy obiedzie ją czytałam. Strasznie mi się podobała, zwłaszcza ten bal u państwa Płachtów, tak komiczny, przedstawiający rodzinę udającą arystokratów. Po prostu umiałam to na pamięć. Kazał mi przeczytać fragment. Czytałam, on mówi:

– Dość. Opowiedz ciąg dalszy.

Opowiadałam i tak komicznie i dokładnie przedstawiłam scenę z książki, z taką ironią, z takim zacięciem aktorskim, że cała komisja maturalna się zaśmiewała. Kiedy skończyłam, profesor powiada:

– Dziękuję pani, a teraz może trochę z gramatyki.

Zrobiłam taki ryjek do księdza, „O Boże”, a w tym czasie ksiądz pokazywał moje zadanie wizytatorowi. Wizytator spoglądał spod oka na mnie, aprobował, widziałam, że mu się bardzo podobało. Jak ksiądz zobaczył, że mam minę niewyraźną, powiada do profesora Prószyńskiego:

– Panie kolego, proszę zostawić już pannę Łukaszkiewiczównę, przecież tak pięknie nam opowiadała, proszę już jej więcej nie męczyć. I Prószyński, chociaż nie lubił księży, przystał na to.

– No jak ksiądz prosi..., dziękuję pani.

Chwała Bogu, skończyło się. Teraz zaczęła się matematyka. Przychodzę do tablicy, profesor dyktuje, ja piszę zadanie. Naturalnie zaraz wzór na górę, tak jak on kazał. To było skomplikowane zadanie, matematyka z geometrią. Widziałam, że to specjalnie wybrane, dlatego że ja o Ukraincach z przekąsem mówiłam. Napisałam wzór, ale potem próbuję rozwiązać zadanie, coś mi nie idzie, a byłam już zdenerwowana, bo wiedziałam, że matematyka może mi pójść źle. Stoję tak trochę bezradnie, próbuję, wizytator pyta:

– Dlaczego pani nie robi dalej?

Mówię na chybił trafił:

– No bo tutaj czegoś brakuje.

Podszedł do tablicy i zobaczył – no naturalnie, w trójkącie brak połowy wysokości – mówi.

Matematyk mieszał się okropnie, bo wizytator był specjalistą matematykiem i fizykiem. Pisał książki matematyczne i fizyczne i jego podręczników używano w szkołach. Skończyłam to zadanie. Zaczęła się fizyka. Przepętał mnie z wszystkiego, od ruchu począwszy aż do aeroplanów. Przy jednym się tylko zakałupekałam trochę – o ogniach Leclanche'a i chromowych. No, ale w końcu poszło jakoś i już resztę doskonale zdawałam. Matura moja się skończyła. Powiedziano mi, że brakowało tylko jednego bardzo dobrego z matematyki do świadectwa z wyróżnieniem. Ucieszyłam się. Wszystko jedno czy z wyróżnieniem czy nie. Zdałam maturę! Na korytarzu chwycił mnie wizytator pod rękę i pyta, czy jestem córką Łukaszkiewicza ze Świrza.

– Naturalnie, że tak.

Okazuje się, że on kiedyś w Przemyslanach był inspektorem szkolnym i że ojca i mamę zna. Wypytywał o nich, kazał pozdrowić. Urosłam we własnych oczach, przeciwieństwo z wizytatorem spacerowałam pod rękę! Po południu przyszła moja siostra ze szwagrem i chcieli mnie wziąć ze sobą na jakieś ciastka do cukierni. Jak się dowiedzieli, że ja już jestem po maturze, wprost wierzyć nie chcieli. Jeszcze w dodatku, że tak dobrze zdałam. Poszliśmy rzeczywiście do cukierni i na koszt mojego szwagra podjadłam sobie dobrych rzeczy, których w czasie wojny nie zaznałam. Na skrzydłach motyla leciałam do domu, to znaczy wracałam do Świrza, uszczęśliwiona, ze świadectwem, które, gdy mi dawała pani Strzałkowska – powiedziała:

– Tobie nie potrzebuję nic mówić. Wiem, że będziesz świetną nauczycielką.

I tak się też stało. Zostałam nauczycielką, tak jak przewidywała. Miałam wprawdzie jako dziecko marzenie, by zostać lekarką, ale mimo że tatuś popierał moje marzenia i całe wakacje poświęcił, żeby ze mną przerobić łącznie z klasy pierwszej gimnazjalnej (licząc na to, że po wakacjach mama zgodzi się na moje studia), nic z tego nie wyszło. Uważała, że dziewczyna wśród mężczyzn rozbierająca trupy (a w tym czasie sporadycznie zdarzały się wypadki studiów medycznych wśród kobiet), to narażanie córki na ciężki żywot. I nic z tych marzeń nie zostało.

# Z Bożeną Blicharską,

**córką Czesława E. Blicharskiego  
– tarnopolanina,  
rozmawia Anna Madej**

Redakcja *Cracovia-Leopolis* przez kilka lat próbowała namówić Ojca Pani na rozmowę. Konsekwentnie odmawiał. W końcu w grudniu 2014 r. zadzwonił do mnie i oznajmił, że przemyślał sprawę i zgadza się na przeprowadzenie tej rozmowy. Ugodniliśmy, że redaktor Janusz Paluch odwiedzi Go 3 lutego 2015 r. Niestety 3 lutego telefon od Pani, żeby nie przyjeżdżać, bo Czesław Blicharski jest w szpitalu. Do rozmowy tej już nie doszło, gdyż Ojciec Pani zmarł 21 marca 2015 r. Ponieważ wiemy, że Pani kontynuuje dzieło Ojca, chcielibyśmy z Panią porozmawiać o majorze Czesławie E. Blicharskim, lotniku-bombardierze z Dywizjonu 300, ale przede wszystkim tarnopolanie, który pamięci swego rodzinnego miasta poświęcił prawie 30 lat swego życia.

Tak, w łagrze pod Workutą tata poprzysiągł sobie, że, jeśli ocaleje i wróci do domu, opíše ludzi i miasto, nadając im historyczną pamięć. Ocalał, nie wrócił do domu, ale po latach oddał się służbie kronikarskiej Kresów, szczególnie Tarnopola.

Mówiąc o moim tacie mjr. Czesławie Blicharskim, mam pełną świadomość, że wśród współczesnych „Tarnopolan”, bo tych z krwi i kości już prawie nie ma, wraz z upływem czasu wyblakną wspomnienia i opadną emocje związane z jego misją i nim samym, choć dla nich poświęcił niemal 30 lat swego i naszego życia.

Przeczuwając, jak dalek potoczy się Sprawa Tarnopolska i jakie będą losy Archiwum Tarnopolskiego, wzywał przy każdej okazji do utworzenia Muzeum Kresowego, by ocalić od zapomnienia to, co jeszcze z Kresów ocalało, by pamięć o **zawsze wiernych** nie odeszła w zapomnienie. To byłoby uwieńczeniem jego pracy!

Nie był „celebrytą” czy pocziwym starszym, z którym wprost wypadało zrobić



sobie zdjęcie przy okazji oficjalnego spotkania. A było tych spotkań u schyłku życia wiele: Kraków, Częstochowa, Gorzów Wielkopolski, Katowice, Gliwice, Zabrze... Budził szacunek. Chciał i umiał mówić, nie dla samego mówienia, lecz by słuchacze zapamiętali jego słowa o Tarnopolu, tarnopolanach, ich miejscu w historii Rzeczypospolitej. Nie drżał mu głos, nie powtarzał się; a jeśli mówił i o sobie, to zawsze w kontekście „Sprawy Tarnopolskiej”. Inspirował do międzypokoleniowego działania w upamiętnianiu losów zwykłych ludzi, bohaterów swoich czasów, kolorytu kresowej stolicy, wszystkiego, co składało się na niezwykłość tej ziemi przesiąkniętej krwią Polaków, ziemi, na której polskość odradzała się po każdym pogromie.

O dzieciństwie, młodości i przeżyciach wojennych i powojennych ojca pani możemy przeczytać w jego dwóch książkach, które można określić, jako autobiograficzne, Są to; *Tarnopolanina żywot niepokorny* (wydanie pierwsze w 1996, drugie w 2013) oraz *W służbie mojej Małej Ojczyźnie Tarnopolem zwanej* (2011). Ta druga jednak koncentruje się też na tym, w jaki sposób powstawało Archiwum Tarnopolskie rodziny Blicharskich, które w 2002 r. zostało przekazane Bibliotece Jagiellońskiej. Przejście ojca pani na wcześniejszą emeryturę było przemyślaną decyzją o poświęceniu czasu, jaki mu pozostał, tej kronikarskiej służbie dla Tarnopola. Efektem tej mrówczej pracy, niezliczonych kwerend w różnych bibliotekach, a także kontaktów z żyjącymi jeszcze i pamiętającymi czasy II Rzeczypospolitej tarnopolanami jest 9 publikacji poświęconych Tarnopolowi. Czy może je pani krótko scharakteryzować.

Pierwsza, wydana w Londynie w 1991 r., to *Harcerstwo Tarnopolskie 1911–1944*; następne:

- 1992 – *Tarnopol zatrzymany w kadrze pamięci* – album starych fotografii miasta
- 1993 – *Tarnopol w latach 1809–1945* – historia miasta
- 1994 – *Tarnopolanie na starym ojców szlaku* – wojenne losy tarnopolan i ich upamiętnianie
- 1994 – *Miscellanea tarnopolskie t. 1 – Miasto, ulice, budynki użyteczności publicznej, życie kulturalne*
- 1995 – *Miscellanea tarnopolskie t. 2 – Kościoły, życie polityczne, organizacje społeczne, szkolnictwo powszechne*

- 1996 – *Miscellanea tarnopolskie t. 3 – Historia gimnazjów i seminarjów*
- 1997 – *Miscellanea tarnopolskie t. 4 – Cmentarze tarnopolskie. Campo Santo przypomina...*
- 1998 – *Miscellanea tarnopolskie t. 5 – „Petruniu ne ubywaj mene” – ukraińska eksterminacja Polaków na Ziemi Tarnopolskiej.*

Dzwoniąc czasem do Czesława Blicharskiego chciałam zasięgnąć informacji o którymś z tarnopolan. On sprawdzał to w swoim słowniku tarnopolan i zdawał mi relację, kto to był. Wiem, że słownik zawierał około 15 tysięcy nazwisk. Jest to nieskończone dzieło pani ojca. Wiem też, że pani podjęła się dokończyć to dzieło i przygotować je do publikacji. Co może pani o tym powiedzieć?

Przygotowany do druku i złożony „w szufladzie” jest *Tarnopolanin w PRL-u*. Z tejsze „szuflady” wyjęłam po śmierci taty sześciotomowy *Słownik biograficzny tarnopolan* z zamiarem przygotowania go do druku, co obiecałam tacie, który przewidział, że za jakiś czas, a zakończył pracę nad *Słownikiem* w 1990 r., dostępne będą materiały źródłowe umożliwiające uzupełnienie już istniejących biogramów i stworzenie nowych. I tak się stało... Najpierw, dzięki uprzejmości prof. K. Karczewskiej – tarnopolanki, córki oficera WP zamordowanego przez NKWD



w Katyniu, wykorzystałam księgi cmentarne Polskich Cmentarzy Wojennych w Katyniu, Miednoje, Charkowie i Kijowie-Bykowni. Potem były: Ukraińska i Białoruska Lista Katyńska, wykaz jeńców obozu w Gрязowcu, uaktualniony *Wykaz poległych i zmarłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie 1939–1946*, wykazy poległych i zmarłych żołnierzy II Korpusu pochowanych na cmentarzach we Włoszech, *Lista poległych na polu chwały 1942–1947* i długi szereg publikacji historycznych. Rzuciły one światło na wojenne losy uczniów i profesorów tarnopolskich szkół, żołnierzy i korpusu oficerskiego, m.in. 54 pp w Tarnopolu, żołnierzy KOP, funkcjonariuszy PP w woj. tarnopolskim, pracowników kontrwywiadu, tzw. „dwójki”, urzędników, lekarzy, pracowników, kolejarzy, społeczników i ich rodzin po 17 września 1939 r.

Do dziś opracowanych jest ponad 8000 biogramów od A–N. Starłam się zachować język i emocje, tak charakterystyczne dla wypowiedzi taty. Oczywiście spotkałam się już z uwagą, że powinnam *Słownik*, tylko przepisany, przekazać w ręce fachowców sprawnie redagujących biogramy, poprawiających błędy, jakie tata, niebędący historykiem, popełnił(!). Miał na tym również „ucierpieć duch Taty”. Cóż, wydanie słownika na pewno jeszcze długo poczeka, ale „duch Taty” pozostanie w nim na zawsze.

**Oczywiście jako małe dziecko nie była pani w pełni świadoma, że rodzice wyznają inne poglądy niż ogólnie przyjęte w PRL za poprawne i pożądane. W jaki sposób rodzice kształtowali tę pani świadomość i kiedy w pełni świadomie włączyła się pani w ich tok myślenia i dołączyła aktywnie do „sprawy tarnopolskiej”?**

Moje zaangażowanie w „Sprawę Tarnopolską” jest oczywiste. Oboje rodzice w równej mierze zaszczerpili mi miłość do Kresów. Wychowałam się w tym kresowym klimacie, dorastałam w nim, to była moja karma.

Rodzice byli już bardzo dojrzały, gdy przyszedłam na świat. W PRL-owskiej rzeczywistości, z dala od rodzinnych stron, czuli się źle. Uciekali we wspomnienia z lat szkolnych, młodości, a ja się z nimi identyfikowałam. Jako dziecko byłam nieco obca we własnym środowisku, a w liceum wprost niepoprawna politycznie. Nie miałam szans na studia na wymarzonego kierunku, na realizację swoich

marzeń. Naturalnie przejęłam ich marzenia, sposób widzenia świata. Byliśmy samodzielnym TERCETEM. Choć rozdzieliło nas 13 lat mojej pracy na rubieżach PRL, nie zmieniło to naszych stosunków w kwestii Tarnopola. Pomagałam w wywiadach, spisywałam relacje, robiłam korekty tekstu, uczestniczyłam w oficjalnych zjazdach tarnopolan zainicjowanych przez tatę. Kryzys nastąpił po śmierci mamy w 2004 r. Zostałam dla taty specjalistą ds. logistyki. I tak było do końca.

**Wiem, że Czesław Blicharski po wojnie nigdy do Tarnopola nie pojechał. Mówił: „Bałbym się takiej podróży i tego, co tam zobaczę – ale mój Tarnopol trwa mocno w mojej pamięci...”. Pani jednak pojechała.**

W Tarnopolu byłam 2 razy w latach 90. Pamiętam szczegóły, ulice, budynki. Chodziłam prawie jak po swoim mieście, które, choć było inne, nie było obce. Był za to szok kulturowy... Przywiozłam rodzicom zdjęcia i opowieści. Chciałam poznać kraj dzieciństwa moich rodziców, nie tylko Tarnopol, ale i Podole. Udało się mi nie rozczarować krajobrazem, zabytkami mówiącymi o odwiecznej naszej tam obecności. Wiadomo, ponad 50 lat sowieckich uczyniło swoje, ale została „kładka” nad dworcem kolejowym, gdzie spotykała się Kazia z Ceśkiem, żeby pomaszzerować do Parku, został Park oszpecony okrutnie, ale wciąż żywy, „domki kolejowe”, gdzie mieszkała brać kolejarzka, w tym dziadkowie Blicharscy z piątką dzieci, został dom dziadków Michalików, rodziców mamy, zostały zapadłe w pamięć i ulicę gmachy gimnazjów i kościół oo. Dominikanów, do którego chodzili oboje rodzice, i ... ostała się pokrywa kanału na byłej ulicy Podolskiej Niższej z herbem miasta i datą 1936. To dużo jak na miasto zrównane z ziemią, podolską ziemią. Takie, je opuszczała moja mama. Tacie to zostało zaoszczędzone...

**Należy powiedzieć, że to Tarnopolskie Archiwum Rodziny Blicharskich powstało też dzięki tarnopolanom, którzy odpowiedzieli na apel pani ojca, aby przeszukać swoje domowe archiwa i przekazać je do wykorzystania przez TERCET... Jak to wyglądało?**

Przez nasz dom w tamtych latach przewinęło się ok. 1270 osób związanych z Tarnopolem. Ożyły stare i nawiązały się nowe znajomości – dłuższe, krótsze, ale zawsze wnoszące coś w tworzenie Archi-

wum Tarnopolskiego. Najczęściej były to miłe spotkania. Ale, jak to w życiu, nie zawsze finał znajomości czy współpracy wart jest wspomnienia. Tata był pochłonięty „sprawą” bez reszty. Nikt aż tak się nie angażował, chyba że widział w tym swój interes... Mama, bystra obserwatorka, realistka obdarzona niebywałym poczuciem humoru, tak skomentowała kolejne bohaterские opowieści: *AK jest jedyną konspiracyjną organizacją, która w 50 lat po wojnie liczy więcej członków niż w czasie wojny.*

**Porozmawiajmy jeszcze o tej drugiej po Tarnopolu pasji ojca. Było to polskie lotnictwo w Wielkiej Brytanii w czasie II wojny światowej. Sam był bombardierem w Dywizjonie 300. W 2010 r. w krakowskim „Dzienniku Polskim” ukazał się artykuł Jacka Świdra, gdzie Czesław Blicharski opowiada o swoich odczuciach, gdy jako bombardier w lutym 1945 bombardował m.in. Drezno. Mówił: – *Nie będę teraz fałszywie opowiadał, że lepiej było uniknąć tego nalotu. Byliśmy żołnierzami. Wykonywaliśmy rozkazy, walcząc z wrogiem, jakim były hitlerowskie Niemcy. To była wojna, a ja wcześniej widziałem Coventry zbombardowane przez Niemców. Wtedy nie miałem wątpliwości. Czy w domu ojciec często wracał wspomnieniami do tych wydarzeń? Czy też chciał to w jakiś sposób utrwalić w pamięci?***

Tata łagier przeżył cudem. Wyszedł z ZSRR do Armii Andersa z ostatnią grupą uwolnionych. Wybór formacji prosty: lotnic-

two lub marynarka. Wyobraźnia podpowiedziała rozwiązanie, o którym większość młodych chłopaków marzyła. Wzorce z I wojny światowej, jak najszybciej samotnie i skutecznie niszczyć wroga. Rzeczywistość była inna. Barierą był język, subordynacja i niestety zależność od obcych w ich, nie jego, świecie. Tata ze swoją brawurą i temperamentem nie długo pociągnąłby w lotnictwie myśliwskim... Przeszedł szkolenie i niemal wykończył instruktora, czym spowodował przydział do lotnictwa bombowego... Droga „na wojnę” wydłużyła się bardzo, ale opanował język, przeszedł kolejne szkolenia w Kanadzie, zgrywanie załóg i zdążył „na wojnę”. Wielogodzinne loty, bezustanne zagrożenie, odpowiedzialność już nie tylko za siebie, ale i za kolegów, a przede wszystkim za wykonanie zadania. To nie była młodzieńcza fascynująca przygoda. Pasja latania i służba, dla dzisiejszego pokolenia mogąca być horrorem, które powracały w snach i wspomnieniach, towarzyszyły tacie do końca. Poświęcenie się tej pasji zbyt długo odkładał „na potem”, sam z żalem się do tego przyznając: – *Zbyt mało czasu, a tak wiele do powiedzenia o fajnych chłopakach, ich odwadze i poświęceniu, sojuszniczej zdradzie, zawiedzionych nadziejach i wierze, że jednak Polska znów powstanie z ich udziałem.*

**Ktoś powiedział, że ojciec pani „urodził się, jakby symbolicznie, niemal tuż przed odzy-**



Czesław Blicharski (w pierwszym rzędzie drugi od prawej) na lotnisku z kolegami

skaniem przez Polskę niepodległości” (5 lipca 1918 r. w Tarnopolu). Czy może to pani jakoś spuentować?

Przysłowiową „wisienką na torcie” w całej historii mojego taty – rówieśnika Niepodległej Polski jest to, że w 100. rocznicę Niepodległości i jego urodzin lokalna zabrzańska gazeta „Nowiny Zabrzańskie” wydrukowała obszerny artykuł o nim pod tytułem *Potyczka z Iosem*; reszta milczała. Sympatia i szacunek taty dla *Don Kichota* Cervantesa pozostają więc w pełni uzasadnione.

Ja bym jednak trochę inaczej podsumowała to, czego dokonał Pani Ojciec, cytując znowu kogoś, kto na stronie <http://www1.neon24.pl/post/17715,kustosz-pamieci-narodowej-2011> napisał:

„Czesław Blicharski – człowiek instytucja. Nazwisko ma dziś szerzej nieznanne, ale przyszłe pokolenia będą je znać, doceniać i wychwalać. Dzięki jego ogromnej pracy zachowała się pamięć o przeszłych pokoleniach żyjących na Kresach, w Tarnopolu i okolicy. Sam jeden, z własnych środków, bez żadnego wsparcia materialnego ani też organizacyjnego stworzył instytucję – skarbiec Archiwum Tarnopolskie”.

Dziękując Pani za rozmowę, z całego serca życzę, aby tak było. Nie tylko Pani, tarnopolanom, ale przede wszystkim tym „przyszłym pokoleniom”.

Danuta Nespik

## Historia pewnej fotografii

Podole uchodziło od dawna za kraj miodem i mlekiem płynący. Wincenty Pol (1807–1872) – poeta, geograf, kierownik pierwszej w Polsce Katedry Geografii na Uniwersytecie Jagiellońskim, słynny autor poematu *Pieśń o ziemi naszej*, skreślił te słowa:

Nie ma kraju nad Podole!  
(...)  
Tu kraj cały jednym łanem  
(...)  
Płynie mlekiem, płynie miodem;

Ziemie czarne, niepochybne,  
Pasze żyzne, wody rybne,  
Mało wprowadzie trochę lasa,  
Ale za to chleb do pasa!

W 20-leciu międzywojennym Podole od 1 września 1921 r. – administracyjnie województwo tarnopolskie – było jednym z głównych spichrzów zbożowych Polski. Oddzielone od Rosji Sowieckiej graniczną rzeką Zbrucz było etnicznie i wyznaniowo zróżnicowane. Z oficjalnych statystyk wynikało, że język polski deklarowało tam w 1931 r. 49,3% mieszkańców, ukraiński 45,5%, żydowski 4,93%, 0,17% inny język. Po I wojnie światowej ukraiński nacjonalizm w województwie tarnopolskim miał swoich sympatyków i działaczy. Czynnimi byli oni zwłaszcza w środowiskach młodzieży gimnazjalnej i studenckiej.

Na Politechnice Lwowskiej studiowali m.in. Stepan Bandera, Roman Szuchewycz, na Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie Jana Kazimierza tarnopolanin Jarosław Stećka, organizator we wrześniu 1939 r. tzw. Krakowskiego Komitetu Narodowego, który współpracował z Banderą.

Ukraiński nacjonalizm nabierał tempa formując swoje nielegalne struktury w Polsce, a II wojna światowa jeszcze przyspieszyła bieg wydarzeń skutkując ekstermina-



Czesław Blicharski – z książki „Memorial Flight”

cją Polaków przez UPA.

Pod koniec 1943 r. masowe mordy z Wołynia objęły województwo tarnopolskie, nie omijając żadnego z jego 17 powiatów. Jeden z mordów miał miejsce w Lataczu, gmina Drohiczówka, powiat Zaleszczyki.

W kwartalniku „Cracovia–Leopolis” (nr 4/2018)

p. Adam Macedoński w artykule *Relikwie rodzinne archeologa* zamieścił fotografię zamordowanej polskiej rodziny Karpiaków, którzy zginęli 14.12.1943 r. w Lataczowie. Szanownemu autorowi udostępnił ją przed laty bliski krewny zamordowanych dr Stanisław Buratyński.

Fotografia ta, a raczej jej powielone odbitki były już czterokrotnie publikowane, w tym dwukrotnie błędnie jako zdjęcie z Wołynia. Opublikowałam ją w tygodniku „Nasza Polska” (6.03.2004 r.) z podpisami na rewersie nazwisk zamordowanych, daty i godziny mordu. Fotografię dołączyłam do mojego artykułu *Między prawdą a kłamstwem* omawiającego biografię polityczną Bohdana Osadczuka. Przysłano mi to zdjęcie z informacją, że oryginalna fotografia została odnaleziona na terenie Państwowego Domu Rencisty w Malborku po jednej ze zmarłych rencistek, pensjonariuszki, która była prawdopodobnie bratową Stanisława Karpiaka.

Rok później „Gazeta Wyborcza” (z dnia 24.04.2005 r.) zamieściła to zdjęcie z podpisem „Polacy zamordowani na Wołyniu w 1943 r.” jako ilustrację artykułu ukraińskiego historyka Jurija Kiryczuka *Jak za Jaremy i Krzywonosą*, w którym autor m.in., stwierdził, że obydwie strony, polska i ukraińska, przelewały niewinną krew dopuszczając się haniebnych uczynków. Przytoczył też opinie, członków UPA, że „Niemcy zakładają płaszcz z tryzubem i idą palić polskie wsie, że niby robimy to my”.

Fotografia z Latacza oraz 2 inne z tej wsi, przedstawiające zrujnowany filialny kościół i krzyż na wspólnej mogile lataczowskich



Fotografia przedstawiająca dramat rodziny Karpiaków opisana przez Adama Macedońskiego w CL nr 4/2018, s. 49–50

Polaków zamordowanych 15 stycznia 1945 r. opublikowane zostały w książce Henryka Komańskiego i Szczepana Siekierka *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939–1946*, Wrocław 2004. Znalazła się tam też ważna informacja, że fotografię rodziny Karpiaków wykonała policja niemiecka.

Zdjęcie z Latacza znajduje się też na okładce książki Marka A. Koprowskiego *Mord na Wołyniu. Zbrodnie ukraińskie w świetle relacji i dokumentów*. Książkę prezentował miesięcznik „Historia Do Rzeczy” anonsowany w tygodniku „Do Rzeczy” (2017).

Latacz był wsią o zdecydowanej przewadze ludności ukraińskiej i należał do parafii rzymskokatolickiej w Beremianach. „Ponieważ u nas były ciągle napady i mordowania ludzi i księży, jak długo się dało dojeżdżałem do filialnego kościoła w Lataczu. Niestety Polaków w Lataczu prawie wszystkich – około 300 ludzi – zamordowano, gospodarstwa ich spalono, reszta rozproszyła się po świecie...” informował Kurję Arcybiskupią w Lubaczowie proboszcz z Beremian ks. Bronisław Wałowski<sup>1</sup>. W ramach akcji ekspatriacyjnej wyjechał w 1945 r. i pasterzował w diecezji wrocławskiej. Zmarł w listopadzie 1975 r. w Kaliszu.

<sup>1</sup> Ks. Józef Wolczański, Eksterminacja narodu polskiego i Kościoła rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej w latach 1939–1945. Materiały źródłowe, Cz. II, Kraków 2006, s. 828.

Beata Bednarz

# Za tamtym Lwowem

Lwów, 30 kwietnia 1913

[...] *W ogrodzie wielkie zmiany zaszyły. Ponieważ przed brzoskwinią od Kaleczej ku Asanowej budzie ma się robić ulica, więc zabrano się wszystkie lepsze krzewy i kwiaty na stronę północy, tj. od strony dużej sosny i tam na stokach posadzone zostały maliny, agresty, porzeczeki, tarniny, głogi, zaś na płaszczyźnie przed jadalnym pokojem i dużym salonowym oknem posadzono Kaziowe piękne bzy i resztę waszych, między innymi i ten twój śliczny ciemnowiśniowy. [...] Całą tą przewodzątką kwiatów i przenosinami ławki kierował Lubiś [Luk], który sobie wziął za zadanie tę połowę ogrodu, podczas gdy Kazio z Dziopą i Maryną pracuje na inspektach. Na około kamiennego stołu i trzech białych ławek przed salonem jest dany nowy ganek, bo tamten był spróchniały, wygląda tak samo jak dawny, tylko się stała przy robocie wielka szkoda, bo stolarze złamali tę boczną starą gałąź bluszczu, która się zakręcała nad ławką. Strasznie nam żal było, ale może jakoś z czasem narośnie znowu. [...]*

(List Maryli Wolskiej do syna Juliusza, cyt. za: Katarzyna Szczepańska-Kowalczyk,

Szuflada, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018, s. 133–134)

„Zaświecie”... We wspomnieniach i wierszach Maryli Wolskiej i jej córki Beaty Ober-tyńskiej lwowska willa jawi się jako miejsce mitologiczne wręcz, pełne idealnego zespo-lenia artystycznej atmosfery z prozą codzien-ności. „Zaświecie”, jego dawni mieszkańcy i goście powinni [...] pozostać na zawsze w pamięci najdalszych nawet polskich po-koleń jako jedna z piękniejszych kart historii i kultury Lwowa – napisał wybitny historyk literatury polskiej, urodzony we Lwim Gro-dzie, Artur Hutnikiewicz. Okazuje się, że to miejsce nie pozwala o sobie zapomnieć, że duchy jego przeszłości kłębią się w zaka-markach domostw potomków Maryli Wol-skiej i oddziałują na kolejne generacje nie tylko Wolskich, lecz także Pawlikowskich, Szczepańskich, Szumanów i Turowiczów. Opublikowana pod koniec ubiegłego roku książka Szuflada Katarzyny Szczepańskiej-Kowalczyk odświeża sekrety „Zaświecia”, odziera go do pewnego stopnia z pięknodu-chostwa, odwraca naturalny porządek wy-obrażeń o tym domu. Życie każdej postaci zasłużonej, kiedy się je ogląda i rozważa z pewnego już oddalonego punktu w cza-sie, staje się w oczach potomnych żywotem symbolicznym ze względu na stopień się w niej prądów intelektualnych, artystycznych czy narodowych danej epoki. Tak też było chyba ze spojrzeniem Katarzyny Szcze-pańskiej-Kowalczyk na Marylę Wolską. Po znalezieniu w szufladzie rodzinnych episto-łów i innych pamiątek prawnuczka musiała zrewidować swoje myślenie o sławnej poet-ce, szczególnie w odniesieniu do prywatnej sfery jej egzystencji. W trakcie styczniowego spotkania w szczelnie wypełnionej czytelni-kami krakowskiej Księgarni pod Globusem autorka powiedziała, że jej celem było od-tworzenie historii jej dziadków, ale cała przy-goda z odkryciem ich listów doprowadziła do czegoś więcej, do lepszego poznania jej matki, w której odnalazła cechy Maryli



Maryla Wolska, ok. 1895 (źródło: Polona.pl)

Wolskiej. Padła opinia, że jest to książka wielowątkowa, ale przede wszystkim, jak uzupełniła autorka, opowiada o kobietach, w szczególności o jej matce Danucie Wolskiej. Wyznała również, że jej ojciec, Jan Józef Szczepański, często mówił: „No, tak, panowie Wolscy”, przywołując cechy ujawniające się u mężczyzn należących do rodziny Wolskich jako zły przykład, bo mają zgubny gen, polegający na słabości charakteru. Martwił się tym, że jego syn też go odziedziczył, o czym świadczy przywołany przez córkę w jej książce fragment *Dziennika* pisarza.

### **Z powojennej szuflady**

*Nic się nie kończy, nic się nie zaczyna.  
My, ziemia – słońce – ptak, czy ozimina.  
W żywota wielkim, wiecznym kołowrocie,  
Jedno jesteście! Jeden wątek pasma,  
Które ta mądrość, co na wszystko czas ma,  
Tka wciąż – i zwiąja znów i nie przecina –  
I nigdy w swojej nie stanie robocie.*  
(Maryla Wolska, *Z przedwojennej szuflady*,  
w: *Dzbanek malin*, Biblioteka Medycka, Medyka 1919, s. 58)

O tym, że w starych kątach i sprzętach domostw może zastygnąć czas i drzemać cień dawnego życia przodków, o czym pięknie napisała młodopolska poetka w wierszu pod tytułem *Na dnie zwierciadeł*, przekonała się w 2009 roku jej prawnuczka, Katarzyna Szczepańska-Kowalczyk. W krakowskim mieszkaniu Szczepańskich przy ulicy Helców, w dużej szufladzie położonej na dole potężnej i ozdobionej lustrem szafy, jej matka, Danuta z Wolskich, przechowywała najpierw muszle i korale przywożone z egzotycznych podróży, a potem potajemnie zamieniła te przedmioty na listy swoich rodziców. Za symbolicznie sprzęgnięty z tym nieoczekiwanym zdarzeniem można uznać fakt, że babcia Danuty, Maryla Wolska, nadała zapisanym przez siebie wspomnieniom tytuł *Quodlibet*. Pisanie przerwała jej śmierć w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Dokończyła je córka, która także została poetką, Beata Obertyńska, dorzucając do nich swoje, pod nazwą *Quodlibecik*. Co oznacza to słowo? Quodlibet to jakby płytka szuflada, wieszana na gwoździu jak obraz, pokryta szkłem. Dno bywa wyścielane atlasem, do którego

przyszpila się lub zawiesza na gwoździu bliskie sercu drobiazgi. Na dnie takiej czy innej szuflady wielu z nas trzyma pamiątki swoje lub należące do krewnych. Zawarty w tytule zacytowanego wiersza wspomnień młodopolskiej poetki mebel staje się po odkryciu Katarzyny Szczepańskiej-Kowalczyk jeszcze silniej przemawiającą do wyobraźni metaforą. Szuflada chowała „pożółkłe, dawne listy”, w których czytały się rodzinne sekrety. Znaleźisko to stało się dla córki Jana Józefa Szczepańskiego początkiem wyjątkowej, niepozabawionej kolców, podróży w głąb swojej tożsamości. Z szuflady wydobyła klucz do zamkniętych przez jej matkę drzwi. Od razu domyśliła się, kogo za nimi znajdzie, i że będzie już mogła, a nawet musiała, podzielić się tym, co zobaczy po drugiej stronie.

Katarzyna Szczepańska-Kowalczyk nadała swojej książce formę szkatułkową, jakby na wzór mebla, z którego wydobyła niezwykle znaleźisko. Luźne zestawienie niejednorodnych segmentów stanowi właśnie nieszablonową zasadę kompozycyjną. Nie stoją owe segmenty osobno ani nie wpadają na siebie bezładnie, ale w sposób celowy przenikają się, odsyłają do siebie, dopełniają wzajemnie, jedne w drugich znajdują przedłużenia i echa. Są częściami tej samej, choć na pozór fanaberyjnej, skonstruowanej całości – quodlibetu. Posiłkując się i manewrując specjalnie takimi formami narracyjnymi jak reportaż z podróży w czasie i przestrzeni, osobiste refleksje, komentarze do cytowanej korespondencji dziadków, jak elementy klechdy domowej, jak urywki zeszycika, kalendarzyka, dokumentu czy autobiografii, obrazki, zapiski, stare zdjęcia, jak okruchy rozbitego zwierciadła, autorka dokonuje rodzinnej wiwisekcji, by poznać lepiej siebie i swoich przodków. Z tego pieczołowicie poskładanego puzzle wyłania się nie tylko nieznanne dotąd oblicze toczącego się na początku XX wieku życia w słynnej willi, lecz także uniwersalna opowieść o odwiecznie ludzkich problemach, zawsze jakoś skandalicznie zagmatwanych.

### **Zaświecie**

*Im dłużej się przyglądam tej rodzinnej historii, tym lepiej widzę, ile ma w niej udziału Maryla Wolska – nieprzenikniona dama*

z fotografii na maminej półce z książkami. I znów, by to zrozumieć, trzeba zrobić krok w tył i przypatrzeć się tej postaci.

(Katarzyna Szczepańska-Kowalczuk, *Szuflada*, Kraków 2018, s. 206)

Autorka tych słów wtargnęła do środka „Zaświecicia” przez szufladę. Razem z nią zatem przyjrzymy się postaci wybitnej poetki w świetle znalezionej korespondencji i innych archiwaliów, a także życiu, które toczyło się na ulicy Kaleczej 20 na przełomie XIX i XX stulecia...

Willą położona była w starym, pięknym sadzie, na stokach cytadeli lwowskiej, w pobliżu Ossolineum. Kupił ją w 1898 roku dla młodziutkiej żony Maryli z Młodnickich prężny w tamtych czasach przedsiębiorca, wizjoner, idealista, poliglota i jeden z twórców galicyjskiego przemysłu naftowego – Wacław Wolski. Z okresu największego powodzenia jego nafciano-patentowego interesu pochodzi zabawny wątek o tym, jak jeden z kanadyjskich milionerów, z którym współpracował, przesyłał zaskakujące upominki. Katarzyna Szczepańska-Kowalczuk przypomina rodzinną anegdotę o tym, że *najosobliwszym prezentem było ogromne koło szwajcarskiego sera, które odznaczało się tak mocną wonią, że użyto go wreszcie jako zapory przeciw złodziejom, wieszając prezent w odległej części domu, gdzie „własną pięścią” miał nieproszonym gościom zagrażdzać drogę*. Dusza, ozdoba i panią domu od pierwszego dnia objęcia tej posiadłości stała się Maryla Wolska. Ponieważ była z natury istotą marzycielską i poetyczną, od razu dostrzegła wyjątkowy urok domu skrytego w gąszczu rozległego ogrodu, na zacisznej ulicy, więc go nazwała „zaświeciem”, bo *leżał naprawdę jakby za światem. Z czasem dopiero miasto podpłynęło do nas tak blisko, że znaleźliśmy się w śródmieściu* – jak napisała we wspomnieniach jej córka Beata. Dom znajdował się niejako poza zgiełkiem świata, ale nie panowały w nim tylko spokój i sielskość. Toczyło się w nim wartkie, niepozabawione poważnych trudności życie. Oprócz Maryli Wolskiej artystyczną atmosferę willi przez okres trzech lat tworzyli jej przyjaciele, których ochrzciła mianem planetników: Leopold Staff, Józef Ruffer, Władysław Orkan, Ostap Ortwin, Jan Kasprowicz. *Czytali kolejno swoje utwory, śmiali się, dys-*

*kutowali, a z nami bawili się w „żandarma i zbója”* – zapamiętała córka poetki Beata. Przez pobudzające klimat twórczy „Zaświecicie” przewijali się także przyjaciele i koledzy akademiccy ojca Maryli, Karola Młodnickiego: Jan Matejko, Henryk Rodakowski oraz brat Albert (Adam Chmielowski), któremu Maryla Wolska poświęciła jeden ze swoich pełnych uroku wierszy. Opiewa w nim swój dom, gdy: *Jeszcze widok daleki, wesoły / Z naszego ganku / Na kopiec i wszystkie kościoły, / Aż po cesarski lasek, / Nie zarósł jak dziś dachami*. O ganku, z którego rozciągał się widok na Wysoki Zamek, Ratusz i całe miasto, wspomina z rozrzwinięciem także w *Qudlibecie*. Niektórzy poeci staną się szczególnie bliskimi przyjaciółmi rodziny, jak na przykład Władysław Belza, o którym Maryla Wolska napisze, że należał on do takich ludzi, o *jakich Tatko mawiał: „Wiecie, on jest nadzwyczajny, ale takich już nie ma...”*. Belza zostanie ojcem chrzestnym najstarszego syna poetki. Dedykował mu swój najślynniejszy wiersz *Katechizm dziecka polskiego*. Podczas wojny polsko-ukraińskiej Ludwik zostanie rozstrzelany wraz z grupą dwudziestu czterech Polaków na zamku w Złoczowie.

Matką Maryli Wolskiej była Wanda Monné, a ojcem malarz Karol Młodnicki, on zaś – serdecznym przyjacielem Artura Grottgera. Twórca cenionych cyklów patriotycznych *Polonia* i *Lithuania* zmarł bardzo młodo na gruźlicę, a Karol Młodnicki ożenił się z jego narzeczoną Wandą. Nieszczęście oceniającej młodość Wandy znalazło po latach swoje odzwierciedlenie w albumie *Artur i Wanda*, wydanym w 1928 roku z inicjatywy Maryli i Wacława Wolskich. Kult pamięci Grottgera uprawiała Wanda Monné przez całe swoje życie, do czego włączała rodzinę. Miała w tym szczególnego sprzymierzeńca, swojego męża, który w ten sposób czcił przyjaciela i wspierał żonę. Jak zapamiętała Maryla Wolska, gdy *kartony z albumu Mamy szły na wystawę którąkolwiek, Ojciec sam wkładał je pod szkło i nigdy żaden introligator nie tknął ram z nimi*. [...] *Gdy ciężkie położenie materialne i niedomaganie Ojca skłoniło Mamę do rozstania się z szeregiem tych rysunków w roku 1894, odczuł to Ojciec jako moralną katastrofę, której nie przebolewał nigdy*.

Z małżeństwa Maryli i Wacława Wolskich zrodziło się pięcioro dzieci: Ludwik, zwany



Lukiem, Kazimierz, Beata (Dziodzia), Juliusz i Aniela (Lela). Jaką matką była Maryla Wolska? Według Beaty Obertyńskiej, pozbawiona była talentów pedagogicznych i sama musiała to czuć. *Mama miała z naszym najmłodszym dzieciństwem, a może dzieciństwem w ogóle, najmniej do czynienia. Nie „wodziła” sama swoich kurcząt. Choć nas bardzo kochała, choć miała do nas duży zmysł (zwłaszcza optyczny), choć się nami cieszyła, lubiła nas popieścić i uściskać – nie podścieliła się naszemu dzieciństwu, jak wiele matek już wtedy, a chyba wszystkie już dziś –* napisała najstarsza córka w *Quodlibeciku*. W epoce Maryli Wolskiej matki, jeśli mogły sobie na to pozwolić i jeśli tak wołały, nie musiały same niańczyć swoich piskląt, zwłaszcza gdy mogły mieć pewność, że ktoś zrobi to daleko lepiej od nich – dodaje Beata Obertyńska. Wszystkie dzieci odczuwały, że są z matką mało zżyci, za mało spoufalereni. Ujawniona w książce *Szuffada* korespondencja dopełnia obraz Maryli Wolskiej jako matki, która, jak się okazuje, nierówną miarą obdarzała uczuciem swoje dzieci. Troski, wyrozumiałości i cierpliwości z jej strony pozbawiony był szczególnie Juliusz, najmłodszy z synów (urodzony 19 września 1899), z powodu kłopotów w nauce. Zacytowane w książce listy napisane przez jego o dwa lata młodszą siostrę Lelę oraz starszą siostrę Dziodzię wskazują, że w wieku dwunastu lub trzynastu lat został przez rodziców wysłany w celach edukacyjnych aż do Niemiec, do tamtejszego „zakładu dla dzieci trudnych”. Po latach z całego rodzeństwa tylko Dziodzia mogła wyjaśnić przyczyny oddalenia chłopca od rodziny i – czując taki obowiązek wobec bratanicy Danuty – napisała na maszynie tekst i w latach siedemdziesiątych przysłała go do niej pocztą. Jak tłumaczy w tym tekście Beata Obertyńska, Juliusz „był dzieckiem niepożądanym”, czwartym z kolei, a ponieważ okres ciąży Maryla spędziła w depresji, po urodzeniu synka Waclaw Wolski na osłodę podarował żonie parę złotych kolczyków z turkusami oprawionymi w brylanty. Poetka prześle je potem jako prezent ślubny Stefanii – żonie Juliusza – w sierpniu 1925 roku, ze słowami wyjaśnienia: *Jak wiesz, na ślubie Twoim mnie nie było – dziś więc, gdy już masz córeczkę i gdyście się osiedlili może na czas dłuższy i żal Twój niestuszny minął,*



Fotografia ślubna Beaty i Józefa Obertyńskich, 1918  
(źródło: Polona.pl)

*posyłam Ci tę pamiątkę, którą ongiś otrzymałam od Tateczka, abyś ją nosiła, wspominając nas obojga – a kiedyś przekazała Waszej dziewczynce, którą ucałuj ode mnie. Z tych kolczyków powstanie pierścionek noszony potem przez prawnuczkę Danutę Wolską.*

Od niemowlęctwa Juliusz chorował, a w wieku szkolnym jego kłopoty zaczęły dotyczyć dodatkowo nauki, gdyż nie mógł opanować umiejętności poprowadzenia czytania (w tym nut mimo posiadania doskonałego słuchu muzycznego), pisania i mnożenia. Rodzice uważali, że te braki są wynikiem lenistwa, zawziętości i niechęci, dlatego stracili do syna cierpliwość i wysyłali do różnych szkół. Beata Obertyńska, portretując w *Quodlibeciku* młodszego brata, wprost stwierdziła, że *jeden Julek był na osobnych, żalosnych zresztą prawach. Po szeregu w niemowlęctwie przebytych konwulsji miał wielkie trudności z nauką. Poza tym był najkompletniej normalny, sprytny, dowcipny, ładny, wyrośnięty, wyjątkowo muzyczny i wyjątkowo dobry.* Dziś łatwo ustalić, że źródło doświadczanych przez niego problemów w nauce tkwiło w zaburzeniu, jakim jest dysleksja. Ciągłe utrapienia przeżywane z powodu syna przeobraziły się u Maryli Wolskiej w trwały uraz do niego. Jako matka dużo uwagi nie poświęcała wszystkim

swoim dzieciom, ale tylko z najmłodszym synem nigdy nie nawiązała nici porozumienia. Babcia Wanda Młodnicka potrafiła dostrzec jego zalety, ale też bywała wobec Julka uprzedzona i surowa. Po odesłaniu wnuka do specjalnej placówki w Niemczech żaliła mu się w liście napisanym 19 października 1912 roku: *Jaka to szkoda, żeś się nie chciał uczyć w domu, w Ojczyźnie, tylko trzeba dla Ciebie było zagranicznej szkoły! Weź że się choć teraz do pracy, aby Tatko kochany za wszelkie koszty jeszcze dalszego nie miał zmartwienia.* Maryla Wolska zaś pisze do synka rzadko, ale kwieciście, jak na poetkę przystało. Obficie opisuje toczące się na „Zaświeciu” kolorowe życie oraz wplata między wierszami swoją matczyną gorycz: *A wiesz przecie, żebyśmy woleli wszyscy, abys mógł być z nami jak inne dzieci. Tej zimy jednak dobrze, że Cię nie było we Lwowie. [...] Kocham cię za to, że się lepiej uczysz.* Beata Obertyńska we wspomnianym wyżej tekście z lat siedemdziesiątych XX w. zauważa, że owa „niedomoga”, polegająca na braku właściwej koordynacji między móżgciem a mową, *całemu szeregowi dzieci utrudniło, opóźniło czy uniemożliwiło naukę, a często nawet płynne czytanie.* Juliuszowi Wolskiemu na pewno uniemożliwiło, gdyż nie zrobił matury, a bez niej jedną z niewielu szans pozwalających wtedy mężczyźnie bez wykształcenia na samodzielny byt stanowiła praca na roli. Taką drogę zresztą podsuwała mu rodzina, bagatelizując jego kłopoty ze zdrowiem i brak zainteresowania rolnictwem. Choć przejawiał talent do muzyki i do języków, nie mógł w pełni z nich skorzystać, bo z trudem przekładał je na transkrypcję.

Katarzyna Szczepańska-Kowalczuk jako nastolatka poznała osobiście ciotce, czyli dwie córki Maryli Wolskiej: Beatę Obertyńską (Dziodzię) i Anielę (Lelę) Pawlikowską. Ciotce odwiedzała w Londynie, dokąd wygnała je wojenna zawierucha. Siostry gnieździły się w mieszkanku na poddaszu na Clifton Gardens. Nie przyszło do głowy młodej wówczas Katarzynie Szczepańskiej zapytać je o swojego dziadka Juliusza Wolskiego, a one same nigdy nie wspomniały w jej obecności o ich bracie. Wokół Juliusza, a także Ludwika (Luka), panowało w rodzinie od dawna milczenie, które *musiało wykluczyć się wcześniej, w innym domu. Nosił nazwę Zaświe-*

*cie i mieścił się we Lwowie. Tam urodził się dziadek Julek jako czwarte z pięciorga dzieci Wacława Wolskiego (inżyniera, wynalazcy i współwłaściciela pól naftowych na Ukrainie) oraz Maryli z Młodnickich – młodopolskiej poetki. Tam też pewnego razu zjawiła się Stefania. W tym momencie dzięki szufladzie, której zawartość poznajemy za sprawą książki prawnuczki poetki, wkraczamy w nieznany dotąd skrawek świata rodziny mieszkającej we Lwowie, w „starym domisku, obrośniętym bluszczem”, jak określi swoją posiadłość Maryla Wolska w liście do krytyka literackiego Artura Górskiego.*

### **„Po hroczku i buzi posyłam na listeczku” – historia miłości między Juliuszem Wolskim a Stefanią Hrachowiną**

Kiedy wybucha pierwsza wojna światowa, Juliusz ma piętnaście lat i wraca do domu, który opustoszał bez sióstr i braci. Gospodarzy jego dawna niania, Emilia Strowska, zwana w rodzinie Wolskich „Panomcią”, która zawsze opiekowała się nim z największą czułością. Pomaga jej pochodząca ze Skolego (tej górskiej miejscowości, gdzie Wolscy mieli dom zwany Storożką) Hucułka Stefania, która być może liczyła wtedy osiemnaście lat. Julek zna ją jeszcze właśnie ze „Storożki”. W niespokojnym czasie, kiedy bieda nie omija także domu Wolskich, Juliusz i Stefania zbliżają się do siebie, o czym świadczą odkryte w szufladzie na ul. Helclów w Krakowie przez ich prawnuczkę liściki adresowane do *Wielmożnej Pani Stefanii Hrachowiny, Lwów ulica Kalcza 20.* Wszystkie zdradzają jego kłopoty z ortografią. Po odświeżeniu wojska wysłano Juliusza do Goszyc, by tam pod okiem ciotki Marii (Mimy) Zawiszyny (siostry ojca) uczył się na agronoma. To właśnie między innymi z Goszyc pisał do Stefanii, którą w pierwszym liście, wysłanym prawdopodobnie wiosną 1920 roku, tytułuje „Tusiątkiem Najmilszym”. *Wieżę Ci bardzo, że Ci się to nie może w głowinie pomieścić lecz w mojem telepiącym jeszcze sercu ty się tylko jedna mieścisz i to od dawna* – wyznaje Jul. W kopercie ze zdjęciami autorka książki *Szuflada* znajdzie dwie fotografie Stefanii wykonane w atelier. Jedno z tych zdjęć wykradł Juliusz mężczyźnie, z którym była ona przez pewien czas związana, a warto dodać,

że od lwowskich adoratorów nie mogła się opędnąć. Widzimy na nim niepospolitej urody kobietę, siedzącą w dostojnej pozie, o melancholijnym spojrzeniu dużych i skośnych oczu. Stefania wrosła w dom na „Zaświeciu” do tego stopnia, że jakby zapomniała o pochodzeniu i zerwała więzy ze swoją rodziną. W ciągu dziesięciu czy jedenastu lat z „pokojowej” przeistoczyła się w domownika, a dla Maryli Wolskiej, do której zwracała się czule, mówiąc tak jak prawdziwi członkowie rodziny: „Mau” albo „Mameczku”, była, jak zauważa Beata Obertyńska, „podporą, pomocą, wyręką”. Maryla Wolska obdarzała Stefanię dużym zaufaniem i przywiązaniem. Jednak nie mogła wiedzieć (zbyt zajęta była własną osobą i poza tym zakochani starannie trzymali sekret w tajemnicy), że jej syna Juliusza i pracującą w jej domu Rusinkę Stefanię łączy silne uczucie. Jako zabawny można potraktować fakt, że nie zdając sobie z tego sprawy, od pewnego momentu sama zaczęła aranżować tej parze małżeństwo. W jej wizji Stefcia miała zostać zawieziona na ślub karocą. Poetka, która bardzo lubiła mieć kontrolę nad otoczeniem i pragnęła, aby ludzie i sprawy zgadzały się z jej wyobrażeniem, z dezaprobatą przyjęła wiadomość o potajemnym ślubie jej syna Juliusza ze Stefanią, mimo że ją ceniła i na dodatek sama zaplanowała ten związek. Dopóki wszystko układało się po jej myśli, potrafiła być dla ludzi wielkoduszna. Gdy w jej odczuciu sprawiali jej zawód, a scenariusz nie układał się po jej myśli, stawała się oschła i zrywała kontakty.

Korespondencja nie jest kompletna – brakuje na przykład listów pisanych przez Stefanię do Goszyc, ponieważ albo je Juliusz Wolski zniszczył, albo w trakcie wielu swoich wędrówek za pracą pogubił. Stefania jednak zachowała epistoły od Julia. Zanim ich związek zaczął nabierać poważniejszych kształtów, rozważała propozycje małżeństwa od innych mężczyzn, a Juliuszowi ojciec i ciotka szukali najlepszej partii, którą miała być panienka z sąsiedztwa Goszyc. Epistoły z 1921 roku wskazują, że rozumieli daremność wzajemnych uczuć, nie wierzyli, że uda im się połączyć, mając akceptację rodziny Wolskich. Dlatego każde z nich próbuje ułożyć sobie życie pod dyktando obowiązujących konwenansów i przypisa-

nej im przez otoczenie roli. Losy ich obojga zaczęły zmieniać się w lecie 1922 roku. To wtedy ponoć pojawia się pomysł Maryli Wolskiej, by ich ze sobą zeswatać. Układa swój scenariusz, nie wiedząc, że oboje w swoich marzeniach już dawno próbowali taki sam tworzyć. Ten sekret początkowo nie wychodził poza ściany zaświeckiego salonu. Z listów Juliusza wybrzmiewa nadzieja na wspólne życie z ukochaną Tufcią, później jednak wyłania się z nich coraz częściej niecierpliwość z powodu przedłużającej się niemożności zrealizowania planów, aby po ślubie mogli zamieszkać na „Storożce”, ponieważ nie ma on żadnej trwałej pracy ani stanowiska. Dużą rolę we wcielaniu pomysłu Maryli Wolskiej w życie odgrywał Michał Pawlikowski (zwany Szuszundrą), jej przyszyły zięć. Po śmierci męża stał się głową lwowskiego klanu Wolskich. Przyjaźnili się od 1903 roku, kiedy młoda poetka pojawiła się na zakopiańskim Kozińcu na zaproszenie Pawlikowskich. W korespondencji wyjętej z szuflady Michał Pawlikowski wzmiankowany jest na początku lat dwudziestych bardzo często – jako przyjaciel domu i narzeczony Leli. Odkrywczytni tych epistołów przypuszczają, że *po wojnie, po śmierci Luka i utracie Wacława, a potem matki Maryla powierza w jego ręce zarówno zabagnione finanse domu, jak i całą swoją bezradność i że ślub młodszej córki znów po części jest scenariuszem, za pomocą którego próbuje zakłinać nie dość przychylną sobie rzeczywistość*. Plan matrymonialny dwóch aktorów tego scenariusza przeciąga się, o czym żali się Jul w liście wysłanym w grudniu 1922 roku do Tufka z Perepelnik, gdzie ulokował się w nadziei objęcia posady w organizowanym tam młynie. Niepewna sytuacja doskwiera narzeczonym, tym bardziej że odczuwają, jak niewiele zależy od nich samych, a dużo od sprzyjających układów czy działań rodziny. Na początku 1923 roku pojawi się dodatko-



16-letnia Wanda Monné na rysunku Artura Grottera  
(źródło: Wikimedia Commons)



wy problem, który pogorszy położenie Juliusza. Bez ceregieli i lekkim tonem informuje w liście narzeczoną o próbie sprzedaży swojego (?) dziecka, które urodziło się w wyniku romansu z niejaką Marynką. Dzięki wyjętej z szuflady korespondencji dowiadujemy się zatem o kolejnym

sekrecie zaświeckiego domu. Stefania jednak przyjmuje te rewelacje z godnym podziwu spokojem jako nieprawdziwe oskarżenia lub wybryk z kategorii *pospolitych psot kawalerskich*. Skandal ten nie psuje wzajemnych relacji narzeczonych.

Jesienią 1923 roku „Zaświeciem” wstrząśnie jak grom z jasnego nieba nowina o czymś, samowolnym ślubie Stefanii i Juliusza. Państwo młodzi pobrali się 17 września w kościele św. Mikołaja, znajdującym się za rogiem ulicy Kaleczej, przy której stoi dom klanu Wolskich. Maryla poczuła się oszukana, szczególnie przez Stefcię, której ufała, bo na Julku położyła krzyżyk już dawno. Co więcej, tak misternie tworzywny przez nią projekt ożenku zakończył się fiaskiem. Miało być zgodnie z jej wyobrażeniem, a wyszło inaczej, mniej wzniośle i poetycko.

Małżonkowie próbują znaleźć swoje miejsce na ziemi, zapuścić korzenie jako rodzina. Pierwszą gwiazdkę spędzają w Trościańcu, gdzie jednak nie na długo pozostaną z powodu braku perspektyw i odczuwanej biedy od tego stopnia, że Juliusz zastanawiał się nad emigracją do Ameryki, od czego próbuje bratanka odwieść ciotka. W czerwcu 1924 roku w Złoczowie przychodzi na świat córka Danuta. *Dziecko rodzi się z przywiązania najczulszego i najgłębszego ze wszystkich. [...] Serca ojca i matki są najpiękniejszym dziełem rąk Bożych* – zapisze Stefania ołówkiem na odwrocie listu Michała Pawlikowskiego, odnalezionego w szufladzie. Obietnica użyczenia młodemu „Storożki” oddała się, a zamiast tego Maryla postanawia przyznać synowi niewielką rentę.

Aby podreperować domowy budżet, Stefania i Juliusz uczą się introligatorstwa, które stanie się później źródłem ich zarobku, a nawet poczucia dumy, bo w tej dziedzinie zdobyli uznanie, zwłaszcza ze strony rodziny. Korespondencja prowadzona w 1926 roku ujawnia, że Beata Obertyńska (Dziodzia) o mało nie przyplaciła życiu operacji, która miała „umożliwić płodność”. Niestety zostaje zażegnane, ale wzmiankowany rok okazał się dla klanu Wolskich traumatyczny także z innego powodu. Nie dane było bowiem Stefanii i Juliuszowi długie wspólne pożycie małżeńskie, a właśnie wtedy wszystko zaczynało im się układać. W swoim notesiku (również wyjętym z szuflady) Stefania pod datą 20 marca 1926 roku zapisze: „zachorował”. Juliusz Wolski umiera przedwcześnie, 28 marca 1926 roku, z powodu zapalenia płuc, którego nabawił się w trakcie polowania w Perepelnikach. Tam zostanie pochowany. Stefania była wtedy w drugiej ciąży. Dzięki odkrytym listom Katarzyna Szczepańska-Kowalczyk mogła poznać ostatnie chwile życia dziadka. Jej matka po śmierci ojca wychowywała się z młodszym bratem w podkrakowskich Goszycach. Tak zapamiętał ją brat cioteczny Kasper Pawlikowski: *Dziewczęta nie tworzyły zwartej grupy, choć w nowym dworze było ich wiele. Wśród nich była Danusia Wolska, siostra Julka. Nie należeli do napływu wojennego. Oboje byli sierotami po bracie mojej matki, Juliuszu, grubo przed wojną przyciemnionym wraz z żoną przez ciocię Kernową, która dała im osobny dom do zamieszkania. Juliusz zmarł wkrótce potem, zaś po śmierci jego żony ciocia wzięła dzieci do siebie i roztoczyła nad nimi opiekę. Kuzynka Danusia – i wtedy, i później – zajmowała w moim życiu ważne miejsce. [...] Nasz stosunek był silnie zabarwiony zrozumieniem, intymnością uczuć, jej wielką dobrocią. Dunda, jak ją nazywaliśmy, była stworzeniem wielce uduchowionym, o bogatym życiu wewnętrznym, którego nie dzieliła z innymi. Była jakby wyzuta z siebie – uosobienie altruizmu i szczególnej godności. Miała bliskie duchowe pokrewieństwo z moją matką, a także z Wandzią Wolską, matką Marcina i Krzysztofa (oraz czterech córek) czy z Turowiczami. Wyciszona, delikatna jak motyl, tolerancyjna wobec innych, a przede wszystkim dobra. Później została żoną pisarza Jana Józefa Szczepańskiego.*

Córka Danuty Wolskiej wyznaje w swojej książce, że są takie momenty w tej historii, kiedy wolałaby raczej z powrotem schować ją do szuflady, ponieważ w rodzinnej korespondencji wyczytała poczucie krzywdy, żal i pretensje, utomne stosunki, a przede wszystkim nieczułość i niechęć wobec „nieudacznika”, za którego uważano jej dziadka. Zrozumiała, dlaczego jej matka Danuta schowała tę historię głęboko na dno szuflady i nigdy jej w obecności swojej rodziny nie otworzyła. Swoim milczeniem próbowała w piasku zapomnienia pogrzebać przeszłość, która rzucała długi cień także na nią. Okazuje się, że nie wszystko może być zapomniane, ponieważ – jak napisała w wierszu jej babka – *Nic się nie kończy, nic nie zaczyna. [...] W żywota wielkim, wiecznym kołowrocie, Jedno jesteśmy!* Rodzinne sprawy, nawet osłonięte welonem głębokiej tajemnicy, tkają „jeden wątek pasma” i „nigdy w swojej nie staną robocie”.

Zaświeckie obyczaje oraz metody wychowawcze stosowane w rodzinie Wolskich były typowe dla zwyczajów zakorzenionych głęboko w dziewiętnastym stuleciu. Poprzez ujawnione listy można im się przyjrzeć bliżej i dzięki temu lepiej pojąć zawiłości losu najmłodszego syna Maryli Wolskiej. Po narodzinach wnuczki Danusi w jednym z listów skierowanych do młodych rodziców poetka radziła: *Ciekawam, czy ją krótko trzymacie, czy nie zanadto pieścicie? Bardzo gorąco Wam to zalecam!* Wzmianka o tresurze i nieokazywaniu dzieciom czułości nie powinna dziwić, gdy zna się realia epoki, jednak trochę szokuje nawet z dzisiejszej perspektywy. Szuflada ukrywała też inny sekret, który musiał być bolesny dla Danuty Wolskiej i być może także z tego względu rodzinne dokumenty chowała przed bliskimi. O tej sprawie wspominała tylko jednej osobie. Złożony we czworo arkusz papieru zawiera „oświadczenie” skierowane 25 listopada 1927 roku do Stefanii z Hrachowinów Wolskiej, wdowy, przez Annę i Kazimierza Wolskich z propozycją przyjęcia dzieci do ich rodziny za cenę „rozłączenia z niemi”. W pudełku z listami Katarzyna Szczepańska-Kowalczyk znalazła długą i poruszającą odpowiedź Stefanii na tę ofertę, ze stanowczymi słowami: *nie zgodzę się na wypuszczenie ich ze swojej opieki.*

Chcąc nadać odkrytym listom topograficzną konkretność, autorka wyruszyła tro-

chem rodzinnych historii wyłaniających się z wyjętych z szuflady listów dziadków, jak również ze *Wspomnień* Maryli Wolskiej i jej córki Beaty. Adres domu Kalecza 20 zapisany na dziesiątkach kopert poskładanych w szufladzie „wezwał” Katarzynę Szczepańską-Kowalczyk do odbycia ponownej podróży (w czerwcu 2010 roku i w maju 2011 roku) do Lwowa, tym razem z siostrą, aby zobaczyć, czy stoi jeszcze „Zaświecie”, odwiedzić groby przodków na cmentarzu Łyczakowskim oraz kościół św. Mikołaja, w którym ich dziadkowie: Stefania Hrachowina i Juliusz Wolski, wzięli potajemnie ślub. Katarzyna Szczepańska-Kowalczyk wyprawiła się z siostrą także do Skolego, gdzie odnalazły łąkę, na której stała „Storożka” (dom będący umykającym marzeniem ich dziadków), oraz Perepelnik, gdzie ich mama Danuta spędzała wakacje u mieszkającego tam wujostwa Wolskich (wuja Kazia, ciotki Andzi i gromady kuzynów). Do czasu odkrycia listów dziadków dla Katarzyny Szczepańskiej-Kowalczyk, jak pisze w książce, te miejsca zrosnięte z rodziną jej matki figurowały w zaświatach i nie wzbudzały większego zainteresowania czy emocji. Wycieczki, na które siostry udały się po odkryciu zawartości rodzinnej szuflady, przemieniały się w wędrówkę duchową, w pełne krytycyzmu spojrzenie wstecz, rozmowy z przodkami i ich prochami, w próbę odnalezienia skrawków dawnego świata, aby go odczarować i zdemitologizować. Nie były jedynie sentymentalnymi turystykami, nawiedzającymi dawne polskie Kresy Wschodnie. Dzięki opisanym w *Szufladzie* eskapadom oraz przytoczonym obficie listom i innym dokumentom rodzinnym związanym z „tamnym Lwowem” możemy ponownie nasiąknąć dawnością rodzinną i dawnością lwowską, i dawnością ojczyzną.

#### ŹRÓDŁA:

- Katarzyna Szczepańska-Kowalczyk, *Szuflada*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018
- Maryla Wolska, *Dzbanek malin*, Biblioteka Medycka, Medyka 1929
- Maryla Wolska, Beata Obertyńska, *Wspomnienia*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974
- Kasper Pawlikowski, *Z Medyki. Wspomnienia rodzinne*, Znak, Kraków 2017
- Artur Hutnikiewicz, *Lwowskie „Zaświecie”*, [www.lwow.home.pl/semper/maryla.html](http://www.lwow.home.pl/semper/maryla.html) (dostęp: 2.02.2019).

**Stanisław Grodziski**  
(tekst i fotografie)

## ... i zobaczę miasto Lwów...

**W**akacje 1969 roku zaczęły się dla mnie niebłahym sukcesem: udało się uzyskać trzy miejsca – dla żony, córki i dla mnie – w wycieczce uniwersyteckiej do Bułgarii, do Sozopola, ale przez Lwów (a o to nie było łatwo). Trzydniowa podróż autokarem z Krakowa wiodła przez Lwów właśnie, Tarnopol, dalej szosą o smutnej sławie z 1939 roku, przez Czerniowce, Braszków, Bukareszt, Ruzs czuk (zwany obecnie Ruse), przez słynny most na Dunaju, do Sozopola nad Morzem Czarnym. Tam dziesięciodniowy pobyt i powrót, ale już przez Budapeszt.

Warunki były surowe. Bezwzględne posłuszeństwo niezbyt fachowemu kierownictwu wycieczki, czyli przedstawicielowi związku zawodowego. Własne wyżywienie, zakaz odłączania się od grupy, brak opieki lekarskiej. Po przyjeździe do Sozopola okazało się, że kwater dla wycieczki po prostu nie ma... Pierwszą noc koczowaliśmy w budynku biura turystycznego i na pobliskim skwerku, na ławkach. Rozlokowano nas dopiero nazajutrz. Późniejsze wrażenia: Nesebar, rzeka Ropotamo, cudownie ciepłe morze – były wspaniałe.

Z Krakowa wyjechaliśmy nieco już wysłużonym „Jelcem” o godzinie 6 rano, by przez Tarnów, Przemyśl i „Gorodok” (czyli Gródek Jagielloński) dotrzeć do Lwowa. Starania uczestników wycieczki, by tam właśnie był pierwszy nocleg, spotkały się z kategori czną odmową organizatorów. Ale dano nam cztery godziny, kierownictwo wycieczki chciało sobie trochę „zahandlować”...





w 1939 roku. Zmienione nazwy ulic, i my w pośpiechu poszliśmy ulicą (dla nas) Teatyńską, do naszej Kurkowej, by przynajmniej rzucić okiem na dom, gdzie mieszkała nasza rodzina i gdzie spędziła dzieciństwo moja żona, Tosia.

Wszyscy pragnęli jeszcze choćby tylko wstąpić na chwilę na cmentarz Łyczakowski. Niestety nie powiodło się, trzeba było jeszcze tego dnia zdążyć na nocleg do Czerniowiec.

Było już popołudnie, kontrola graniczna zajęła bowiem sporo czasu. Autobus zaparkował w ścisłym centrum, obiad (bardzo mierny) zjedliśmy w dawnym George'u, wtedy w hotelu Inturist. Pamiętamy ten kiepski obiad, a towarzyska podróży, Tereska Romanowska, wspomina fatalny stan wnętrz słynnego ongiś hotelu. A potem, pośpiesznie i przypadkowo, w miasto, by zobaczyć co tylko możliwe. Katedra tylko z zewnątrz, bo była zamknięta, Kaplica Boimów, Rynek, Ratusz, gmach Uniwersytetu, niestety już nie Jana Kazimierza, Teatr, św. Jur i cerkiew Wołoska. Zwracali uwagę ulice i ich bruk, pamiętający czasy sprzed wojny. Tramwaje koloru zielonego, bodaj czy nie te same, które jeździły

Tylko: po tej krótkiej wizycie we Lwowie w autokarze zapadło milczenie. Nastrój uczestników oddawany był przez atmosferę tych kilkunastu zdjęć, jakie udało się podczas pośpiesznego oglądania miasta ukradkiem wykonać, a które dziś, pięćdziesiąt lat po opisywanej wizycie, oddają jej smutek i stan ukochanego miasta.



# Pamięć o Wilnie i Lwowie nad Sekwaną

**Z Krystyną Orłowicz, prezesem Stowarzyszenia „KRESY WE FRANCJI”, rozmawia Jarosław Krasnodębski**

**Na wstępie chciałbym zapytać, co sprawiło, że powstało takie Stowarzyszenie jak „Kresy we Francji”?**

W Paryżu mieszkam już ponad 40 lat. Ponieważ jestem romanistką, zorganizowałam tutaj szkołę językową, akredytowaną przy akademii paryskiej. No i wypracowywałam dość spore środki w tej szkole, które później były przekazywane w dużej części na oświatę polską na wschodzie, głównie na Litwę i Białoruś. Te związki z Kresami, to były nie tylko sercowe, ale również rodzinne. Byłam związana też z organizacjami w Polsce, ze Wspólnotą Polską w Opolu i Warszawie i korzystałam z tej możliwości, żeby spotykać Polaków na Wschodzie, żeby ich poznać, ich życie obecne i historie. We współpracy ze Stowarzyszeniem Wspólnota Polska w Opolu zorganizowałam w Paryżu cztery wystawy kresowe w siedzibie Polskiej Misji Katolickiej, w tym jedna wystawa „Jan III Sobieski na Kresach” była organizowana w liceum międzynarodowym Montaigne w Paryżu dla sekcji polskiej. Wokół tych wystaw właśnie zbierali się kresowiaczy, prosili, żeby się spotkać. Jeden mówił: ja z Wilna, a ja z Kołomyi, a tamten znowu: a ja ze Lwowa itd. W końcu spotkaliśmy się wspólnie, po trzeciej wystawie, jako komitet twórczy zawiązania koła kresowego przy Nazareth Familie. Gdy pomyśleliśmy o stworzeniu własnego stowarzyszenia, trochę mnie to

przeraziło, muszę powiedzieć. Bo sobie pomyślałam: „Co tu robisz z Kresami w Paryżu”, bo to jest jednak straszna odległość, jeżeli chodzi o historię i umiejscowienie geograficzne. Jak tu przenosić taką wiedzę do Polonii, która jest już zupełnie mało zainteresowana, nawet takimi tematami, gdy każdy walczy o lepszą egzystencję. Kiedy jednak zapadła ta decyzja, że mamy się zarejestrować, to tak też się stało. Obecnie stowarzyszenie liczy sobie 11,5 roku i nazywa się „Kresy we Francji”, po francusku to będzie Association des Polonais des Confins en France.

**Jakie są główne cele Stowarzyszenia?**

Zawarte są one w naszym statucie. Przede wszystkim jest to utrzymanie pamięci polskich Kresów, propagowanie tej historii wśród Polonii, jak również nawiązanie współpracy na wschodzie.

**Proszę pokrótce opowiedzieć, jak wygląda jego działalność?**

Najlepiej – wejść na naszą stronę internetową, która nazywa się [www.kresyfrance.wixsite.com](http://www.kresyfrance.wixsite.com), gdzie można prześledzić naszą działalność. Każdego roku mamy 11 lub 12 zebrań zarządu, oprócz tego organizujemy prelekcje historyczne i wystawy. Rozwinęliśmy się także w ostatnich latach i zorganizowaliśmy koncert muzyczny i pokaz filmu. Swoje podwoje otwierają nam księża Pallotyni w Centrum Dialogu, gdzie odbywają się zebrania, a także mają miejsce różne organizowane przez nas wydarzenia.



Uroczyste wprowadzenie i ofiarowanie kopii obrazu Matki Bożej Łaskawej



Okazuje się jednak, że w Paryżu i okolicy możemy odszukać wiele śladów polskości związanych z Kresami, wystarczy choćby wspomnieć Stowackiego i Mickiewicza, którzy wyemigrowali do Francji. Nie tak dawno przecież w jednym z kościołów paryskich pojawiła się kopia Obrazu Matki Boskiej Łaskawej ze Lwowa, która była inicjatywą Stowarzyszenia...

Na dziesięciolecie powstała właśnie taka idea, która wypłynęła z pragnienia ks. Aleksandra Pietrzyka, superiora księży pallotynów, który poprosił mnie kiedyś na rozmowę i powiedział, że nie może umrzeć dopóki Matka Boska Łaskawa ze Lwowa nie pojawi się w kościele polskim na Concorde pw. Wniebowzięcia NMP. Ja pomyślałam tylko, że będzie trudno temu podołać. Proszę sobie wyobrazić, że to był wrzesień 2016 roku, a myśmy tę Matkę Boską ofiarowali w marcu następnego roku. W tworzeniu tego przepięknego obrazu brał udział malarz z Lubaczowa pan Jerzy Plucha. Drogocenną barokową ramę ufundowało z kolei Stowarzyszenie Wspólnota Polska, Oddział Warszawski. Po długim czasie stał się cud i w piątek 29 listopada 2018 roku okazało się, że obraz jest zawieszony w kościele. Spełniły się też słowa ks. Pietrzyka: „Tylko spokojnie, jak tylko Matka Boska zechce, to wie kiedy przyjść”. No i przyszła. Obok lwowskiego obrazu w tym samym kościele wiszą również obrazy Matki Boskiej Ostrobramskiej i Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

**Wracając do spraw stowarzyszenia, chciałbym zapytać, jak wygląda współpraca z innymi organizacjami?**

Oczywiście staramy się współpracować, głównie z Barbarą Kłosowicz, prezes Towarzystwa Opieki nad Grobami i Zabytkami Historycznymi we Francji, oraz panem Janem Kukuryką, prezesem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów we Francji, którzy są naszymi członkami. Oprócz tego współpracujemy także z polskimi organizacjami działającymi na północy Francji w Dourges, gdzie staramy się dzielić przygotowywanymi



Uroczystości 10-lecia Stowarzyszenia „Kresy we Francji” w Ambasadzie RP w Paryżu

wystawami czy pokazem filmowym. Mieszka tam nasz kapelan ks. Leszek Wojciechowski, z którym organizujemy pielgrzymki autokarowe. Chciałabym tylko dodać, że organizowane przez nas wydarzenia mają charakter otwarty dla całej Polonii.

**A jakie są Państwa plany na kolejne lata?**

Wszystkim nam przybyło po 11 lat od początku naszej działalności... Jeśli chodzi o przyszłe lata, opracowujemy aktualnie projekty na rok do przodu. W ramach cyklu obchodów 100-lecia niepodległości będziemy jeszcze organizować w kwietniu 2019 roku wystawę na temat walk o granice Polski w latach 1919–1921, opracowaną przez płk Tadeusza Chrzęstka z Uniwersytetu Warszawskiego. W maju będziemy gościć Zbigniewa Chrzanowskiego, dyrektora Teatru Ludowego ze Lwowa, który zaprezentuje jego historię. A we wrześniu mamy zaplanowany wyjazd na Ukrainę Zachodnią, gdzie mamy nadzieję, że spotkamy się z tamtejszymi polskimi organizacjami.

**Życząc powodzenia i sukcesów w dalszej pracy.**

---

**KRYSTYNA ORŁOWICZ** urodziła się w Nysie, a od kilkudziesięciu lat mieszka na emigracji w Paryżu. Działaczka polonijna; członek honorowy Polskiej Macierzy Szkolnej na Białorusi i Zalogiu; prezes Stowarzyszenia „Kresy we Francji”. Za swoją działalność na rzecz kultywowania polskości we Francji została uhonorowana wieloma odznaczeniami, w tym Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP.

---

Michał Piekarski

# Zakończony Rok Niepodległości, rozpoczęty Rok Moniuszki

Rok 2018 miał niemało akcentów muzycznych. Należała do nich premiera opery *Manru* Ignacego Jana Paderewskiego w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie. Opera ta wprost kieruje nas do Lwowa, gdzie w Teatrze Miejskim w czerwcu 1901 r. odbyła się jej polska prapremiera (zaledwie miesiąc wcześniej *Manru* wystawiono w języku niemieckim na scenie Opery Drezdeńskiej). Podczas lwowskiej prapremiery obecni byli m.in. Ignacy Jan Paderewski (odwiedzający Lwów wielokrotnie) i Helena Modrzejewska. W 1901 r. *Manru* jako kolejna polska opera weszła do zestawu dzieł zaprezentowanych po raz pierwszy polskiej publiczności właśnie we Lwowie. Publiczność krakowska miała okazję zapoznać się z *Manru* już w lipcu 1901 r. za sprawą letnich (corocznych) występów opery lwowskiej. W Warszawie *Manru* zaprezentowano

w 1902 r. Dzieło to widniało w repertuarze teatrów operowych w Polsce międzywojennej oraz po II wojnie światowej. Jednak do czasu premiery w 2018 r. przez dłuższy czas nie było szansy się z nim zapoznać.

Obchody Roku Niepodległości stały się dogodną okazją do przypomnienia *Manru*, którą w Warszawie wystawiono w reżyserii Marka Weissa i pod kierownictwem muzycznym Grzegorza Nowaka. Nie będę tu pisał o wadach i zaletach warszawskiej inscenizacji. Spektakl na pewno warto obejrzeć. Podczas premiery *Manru* z jednej strony zaznajamiałem się z jej muzyczną warstwą, z drugiej nieraz myślałem o jej odbiorze przez lwowską publiczność w 1901 r. Jeżeli chodzi o samo dzieło (a nie aspekty wykonawcze), recenzenci zarówno w 1901, jak i w 2018 r. chwalili muzykę (choć w różnym stopniu) i nie zostawiali suchej nitki na mankamentach libretta Alfreda Nossiga. Z tego powodu czytając ich uwagi tym bardziej zatracić można było poczucie, w którym się jest stulecie. Publiczność warszawska odebrała dzieło entuzjastycznie (ale bez euforii). Podczas premiery warszawskiej 12 października 2018 r. na widowni nie zabrakło też reprezentantów Lwowa w osobach dziennikarki i pisarki Beaty Kost, doktor Anny Pacan oraz piszącego te słowa. Wystawieniu *Manru* w salach Teatru Wielkiego towarzyszyła wystawa poświęcona Ignacemu Janowi Paderewskiemu. Część ekspozycji dotycząca lwowskiej prapremiery w 1901 r. była jednak trudna do odnalezienia (ostatnia sala, w jednym narożniku), próżno było także szukać informacji o większych związkach kompozytora ze Lwowem, w którym choćby w 1910 r. wygłosił swoją płomienną mowę o geniuszu Fryderyka Chopina...

W listopadzie 2018 r. Rok Niepodległości uczciła Opera Krakowska premierą *Manru* w reżyserii Laco Adamika, muzyczną stroną spektaklu kierował Tomasz Tokarczyk. W grudniu spektakl wystawiony w Warszawie został także kilkakrotnie zaprezentowa-

**Początek wyjątkowo o godzinie 7-ej.**  
Cena 20 kl.

**TEATR MIEJSKI W KRAKOWIE.**

XI. op. 11. Nr. poz. 121.

**OPERA POLSKA TEATRU MIEJSKIEGO ze LWOWA w KRAKOWIE.**

W Sobotę dnia 20 Lipca 1901 roku  
GOSCIENNY WYSTĘP

**ALEKSANDRA BANDROWSKIEGO**  
po raz drugi.

**MANRU**

Opera w 3 aktach, słowa Alfreda Nossiga; muz. I. J. Paderewskiego.

**OSOBY.**

Manru, ojciec	J. H. Bandrowski	Anna, córka	FF. Fata
Anna, córka	Emilia	Jan, mąż	Stawski
Julia, matka Ulry	Kamionka	Justyna	Pastuski
Ulry	Stawski	Isabella	Isabella

Wskazy: — Anna — Tawski — Tawski — Cyprian — Cyprian — Dłubiński —  
Anna dzieje się w domu i w Teatrze w chwili zabijania, w akcie II, przed nią (Anna, Manru, w akcie III, przy Moniuszki (ulry).  
"Fata" w akcie I, "Tawski" gościnnie śpiewa i śpiewa w sobotniej operze w Teatrze.  
Wskazy: p. Stawski, p. Ziemski i Cyprian do balu.

**NOWE DEKORACJE** z projektu artysty M. Jankowskiego. **NOWE KOSTYMY** z projektu artysty J. Krawczyńskiego.  
Po drugim akcie dłuższa przerwa.

**ES** Początek o godzinie 7 — koniec przed godziną 11. **ES**

**Ceny miejsc operowe.**

Kapalnice damskie, Meble parzyste... **E. Smidowicz**  
Angielskie "Parasolki" polska... Główny: Ula A. B.

W Nihilis "Janek", opera w 2 aktach W. Zdobycha — "Rycerskość wianuska" (Wieloletnia)  
W Nihilis "Janek", opera w 3 aktach, słowa G. Tardieu i Tardieu i G. Roussu, muz. Piotr Marquardt.  
W Nihilis "Janek" w Teatrze.

„Manru” w Teatrze Miejskim w Krakowie



Willa Manru w Brzuchowicach (Biblioteka Narodowa)

ny na scenie Teatru Wielkiego w Poznaniu pod kierownictwem Tadeusza Kozłowskiego. Z kolei we Lwowie również w grudniu 2018 r. odbyła się premiera *Manru* w reżyserii Wasyla Wowkuna pod kierownictwem Muzycznym Jerzego Maksymiuka (znanego m.in. jako wieloletniego pierwszego dyrygenta Narodowej Orkiestry Polskiego Radia oraz BBC Scottish Symphony Orchestra). W ten sposób także publiczność polska we Lwowie mogła dołączyć do obchodów 100-lecia niepodległości Polski w podobny sposób jak mieszkańcy Warszawy, Krakowa i Poznania.

Rok Niepodległości to także lista „Sto na sto” opublikowana w listopadowym numerze „Ruchu Muzycznego”. Lista ta prezentuje po jednym najważniejszym, zdaniem Redakcji, dziele muzycznym powstałym w ciągu stu lat od 1918 do 2018 r. Listę otwierają *Pieśni muezina szalonego* Karola Szymanowskiego, zamyka zaś *Fanfara* Krzysztofa Pendereckiego. Znaczącą rolę w dziejach muzyki Lwowa, gdy patrzy się na tę listę, od razu daje się zauważyć niemal zupełny brak kompozytorów reprezentujących to miasto. Znalazł się na niej jedynie Józef Koffler z jego *Koncertem fortepianowym* (1932). Co prawda widnieją na liście dzieła kompozytorów urodzonych lub wykształconych we Lwowie,

## Notatki literacko-artystyczne.

**Libretto „Manru”,** polski przekład p. Stanisława Rossowskiego pierwotnego niemieckiego tekstu Alfreda Nossiga, ukazał się nakładem „Księgarni Polskiej” we Lwowie.

**Z teatru.** Na jutrzejszej premierze „Manru” obowiązuje strój nroczysty (*théâtre paré*).

### Repertuar teatru miejskiego we Lwowie.

Dziś, w piątek po raz drugi „Koralia i Spółka”, krotchwila w 3 aktach A. Valabrègue i Maur. Hennequina.

W sobotę po raz pierwszy „Manru”, opera w 3 aktach J. I. Paderewskiego. Występ gościnny p. Al. Bandrowskiego.

W niedzielę po raz siódmy „Wesele”, dramat w 3 aktach St. Wyspiańskiego.

W poniedziałek po raz drugi „Manru”, opera w 3 aktach J. I. Paderewskiego, występ gościnny p. Al. Bandrowskiego.

„Gazeta Lwowska” 1901



jednak w swoim życiu zawodowym reprezentujących już Kraków, Wilno, Poznań czy Katowice jak: Bolesław Wallek-Walewski, Tadeusz Szeligowski, Tadeusz Kassern, Tadeusz Machl i Wojciech Kilar.

Zastanawiające jest, z jakiej przyczyny poza wspomnianym *Koncertem* Kofflera brak na liście dzieł skomponowanych w ośrodku lwowskim, w okresie kiedy miasto to pełne było polskich muzyków i kompozytorów? Nie twierdzę, że wszystkie utwory lwowian są najwybitniejsze, jednak czy rzeczywiście dobrze jest dziś znana twórczość okresu międzywojennego, składająca się na obraz „najmuzykalniejszego z polskich miast”? Po zapoznaniu się z listą jestem jeszcze bardziej przekonany, że należy wreszcie przywrócić do repertuaru koncertowego twórczość choćby takich kompozytorów jak: Mieczysław i Adam Sołtyśowie, Witold Friemann (jego okres lwowski to lata 1921–1929 pełne licznych nowych kompozycji), Tadeusz Majerski i in. W tym celu wraz z Beatą Kost wystosowaliśmy w grudniu 2018 r. pismo do redakcji „Ruchu Muzycznego” z załączoną listą będącą propozycją 30 utworów środowiska lwowskiego skomponowanych w latach 1918–1948. W żadnym wypadku nie było naszą intencją podważanie (czy próba zmiany) listy „Ruchu Muzycznego”, a jedynie zwrócenie (nie bez humoru) uwagi na muzykę we Lwowie. Ponieważ list ten już przez ponad miesiąc pozostaje bez odpowiedzi, w stosownym czasie „lwowska lista” ukaże się na łamach „Kuriera Galicyjskiego”.

Mamy rok 2019, czyli Rok Stanisława Moniuszki, stwarzający dobrą możliwość kontynuacji założeń (także niezrealizowanych) Roku Niepodległości. Choć Moniuszko związany był z Wilnem i Warszawą, jego obecność we Lwowie też nie była bez znaczenia (o czym jeszcze będzie mowa w kolejnym numerze „Cracovia–Leopolis”). W związku z twórcą polskiej opery narodowej warto zastanowić się nad tym, że do tej pory nie ma (poza Białorusią!) muzeum Stanisława Moniuszki. W Warszawie mieszkał pod paroma adresami, w Wilnie przez 18 lat w jednym mieszkaniu, w zachowanej do dziś kamienicy przy ul. Niemieckiej (obecnie znajdują się tam pomieszczenia biurowe!). Nie jest powszechnie znany fakt, że w mieszkaniu Moniuszków kilkanaście lat po ich wyprowadzce przez ponad pół wieku mieszkała również oddana muzyce rodzina Węśławskich. Należał do niej Stanisław Węśławski – adwokat i kompozytor w jednej osobie, zaprzyjaźniony z Tadeuszem Szeligowskim, który w okresie międzywojennym był wykładowcą w Wileńskim Konserwatorium Muzycznym im. Mieczysława Karłowicza. W ten sposób lwowski akcent odnaleźć można także w Wilnie w mieszkaniu Moniuszków i Węśławskich, gdzie niejednokrotnie bywał i grał na fortepianie Tadeusz Szeligowski – z urodzenia lwowianin, znany nad Wilią m.in. jako autor skomponowanej dokładnie 90 lat temu suity na orkiestrę *Kaziuki*, która szczęśliwie uchowała się na omawianej liście.

Zbigniew Wawszczak

# Niepospolici ludzie Kresów – znani, lecz zapomniani

**Bolesław Orzechowicz, mecenas nauki i kultury polskiej, człowiek na miarę renesansu.**

**P**rzed II wojną światową, zwłaszcza w latach dwudziestych, był postacią znaną i bardzo cenioną, zwłaszcza w środowisku naukowym i kulturalnym Lwowa. Doceniano jego bezinteresowność i niesłychaną hojność w finansowym wspieraniu polskiej nauki we Lwowie.

W roku 1922 Orzechowicz odznaczony został Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a rok później otrzymał tytuł honorowego obywatela Królewskiego Stołecznego Miasta Lwowa. Również Uniwersytet Jana Kazimierza obdarzył go tytułem honorowego doktora Wydziału Prawa. Kim był człowiek tak poważany, czym zasłużył się krajowi i miastu Lwów? Czy zaszczyty, które spotkały pana Bolesława, były zasłużone?



Bolesław Orzechowicz

Bolesław Orzechowicz urodził się w połowie XIX wieku, 18 maja 1847 roku, w rodzinie lwowskiego lekarza i filantropa Andrzeja i Zofii z Obmińskich. Miał dwie siostry. Jedna wyszła za mąż za profesora Uniwersytetu Lwowskiego, Władysława Ochenkowskiego.

Jak z powyższego wynika, wyrastał w środowisku inteligencji lwowskiej, a jego rodzice chętnie angażowali się w działalność społeczną, zwłaszcza w niesienie pomocy charytatywnej.

Po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Jana Kazimierza droga kariery urzędniczej stanęła przed Orzechowiczem otworem, ale on widział siebie w roli ziemianina, racjonalnie zarządzającego rodzinnym majątkiem Kalników koło Przemyśla.

Być może życie tego społecznika potoczyłoby się inaczej, gdyby nie przedwczesna śmierć ukochanej żony Wandy, córki Alojzego Rozwadowskiego, adiutanta jednego z dowódców wojsk powstańczych w 1831 roku, gen. Jana Skrzyneckiego. Orzechowicz był doskonałą partią: zamożny, wykształcony, dobrze sytuowany w kulturalnych elitach Lwowa. Porzucił jednak myśl o powtórny ożenku. Po śmierci ojca w 1885 roku przejął zarządzanie rodzinnym majątkiem Kalników; do funkcji tej przygotowywał się wcześniej, kończąc znaną w Austrii Akademię Rolniczą w Hohenheim i poświęcił się finansowemu wspieraniu nauki polskiej we Lwowie oraz pasji gromadzenia dzieł sztuki z myślą o przekazaniu w przyszłości zbiorów społeczeństwu.

Podobnie jak inni ziemianie, prowadził życie urozmaicone, podróżował po Europie, z czasem także po Afryce i krajach arabskich, nie tylko dla przyjemności, jaką daje poznawanie świata. Z każdej wyprawy starał się przywozić dzieła sztuki, kładąc szczególny nacisk na wynajdywanie cennych poloników, rozproszonych po świecie. Zakupione (nie tylko polskie) obrazy, meble, broń, zegary przywoził do Kalnikowa, tworząc powoli dużą kolekcję cennych zabytkowych



przedmiotów. Zadbął o to, by gromadzone zbiory, których początek stanowiły rodzinne pamiątki (portrety, meble, srebro, porcelana), znalazły odpowiednią oprawę. W tym celu wybudował w Kalnikowie okazały neorenesansowy dwór.

Bolesław Orzechowicz, jak wiemy, wcześniej stracił żonę i będąc człowiekiem bezdzietnym postanowił środki, którymi dysponował, wzbogacone przez dochody z racjonalnie zarządzanego majątku ziemskiego, przeznaczyć na cele społeczne.

Najwięcej środków przekazywał na rozwój nauki, ofiarowując zgromadzone sumy na konto działającego we Lwowie Towarzystwa Naukowego, na którego czele stał wybitny uczyony profesor Oswald Balzer. Przykładowo, pod koniec życia, w 1926 roku, ofiarował Towarzystwu Naukowemu dwie dotacje w wysokości 14 i 10 tysięcy dolarów. Ale nie kończyła się na tym wyjątkowa hojność mecenasa nauki na miarę renesansu. W testamencie zapisał swój rodowy majątek ziemski w Kalnikowie wspomnianemu towarzystwu.

Wcześniej, w 1908 roku, erygował w Kalnikowie parafię rzymskokatolicką, a po kilku latach ufundował neogotycki kościół. Fakty te miały duże znaczenie dla Polaków mieszkających w Kalnikowie, którzy w odróżnieniu od tamtejszych Ukraińców nie mieli swojej świątyni.

Duże sumy pochłaniało gromadzenie obiektów muzealnych, kolekcjonerstwo stało się jego prawdziwą pasją.

Ulokowane w nowym dworze zbiory stały się powiększały. Walki, jakie toczyły wojska Rosji

carskiej o twierdzę Przemyśl w 1915 roku, zagroziły cennej kolekcji. Mogła ulec spaleni lub zagrabieniu. Jednak przewożenie bogatych zbiorów do Lwowa w warunkach trwającej wojny nie było rzeczą łatwą. Lwów znajdował się w rękach Rosjan. Dopiero po wielu staraniach uzyskano zgodę dowódcy wojsk rosyjskich na transport zbiorów. W Kalnikowie pozostały jednak meble, obrazy i srebra, które bardzo ucierpiały w czasie odwrotu wojsk rosyjskich.

Zbiorów nie oszczędziły również zwycięskie wojska austriackie i węgierskie.

Zbiorów przekazane miastu Lwów jako darowizna ulokowane zostały w pałacu Łozińskiego przy ul. Ossolińskich 3 i stały się



Zaproszenie na wystawę z okazji ofiarowania zbiorów (projekt Rudolfa Miękickiego)

częścią Muzeum Narodowego Jana III Sobieskiego znajdujące się na rynku w Kamienicy Królewskiej.

W okresie kilku dziesięcioleci Bolesław Orzechowicz zgromadził ogromną kolekcję, w pełni zasługująca na miano niezwyklej. Krótko mówiąc składała się ona z trzech części. Jedną stanowił zbiór doskonale dobranej broni wschodniej, polskiej i europejskiej. Dość powiedzieć, że w skład jej wchodziła broń biała, rzędy końskie i czapraki. Tak zasobnym i bogatym zbiorem można by obdzielić kilka współczesnych muzeów polskich.

Część drugą stanowił bardzo bogaty zbiór malarstwa polskiego, m.in. rysunków Artura Grottgera, Jana Matejki (cykl 44 rysunków ołówkowych, wizerunków królów i książąt polskich), obrazy Henryka Siemiradzkiego, Piotra Michałowskiego, Józefa Brandta, Kazimierza Pochwalskiego, Teodora Axentowicza, Juliana Fałata, Jana Stanisławskiego, Witolda Pruszkowskiego, Juliusza Kossaka i wielu innych znanych artystów.

W skład trzeciej części wchodziły wyroby rzemiosła artystycznego polskiego i zagranicznego: zegary od XVII do XIX wieku, kolekcje miniatur, szkła artystycznego, zbiory porcelany polskiej i obcej, kolekcje brązów oraz monet.

Wszystko to (przedstawione tutaj w wielkim skrócie), zgromadził ten gorący patriota, całkowicie sprawom społecznym oddany, skromny człowiek. Próżno byłoby szukać wśród współczesnych mu ziemian ludzi tak ofiarnych, bezinteresownych, tak społecznie zaangażowanych.

W wyniku decyzji wielkich mocarstw koalicji antyhitlerowskiej (decyzji całkowicie rozmiągających się z pragnieniami polskiego społeczeństwa) Lwów został przekazany wchodzącej w skład Związku Sowieckiego radzieckiej Ukrainie. Była to brutalna zemsta Stalina za niepowodzenie z 1920 roku, któ-



Obraz Jacka Malczewskiego „Chrystus przed Pilatem” pochodzący ze zbiorów Bolesława Orzechowicza

rej nie potrafili przeciwstawić się Roosevelt i Churchill, mimo solennych obietnic, jakie pierwszy z nich złożył polskim przywódcom, premierom: Władysławowi Sikorskiemu i jego następcy Stanisławowi Mikołajczykowi. Uprawniona jest teza o zdradzie Zachodu, który nie tylko zdecydował o utracie Kresów Wschodnich ze Lwowem na czele, ale również oddał Polskę pod kuratelę Związku Sowieckiego.

W wyniku tych niekorzystnych dla państwa polskiego postanowień za granicą pozostały wyjątkowo bogate i cenne dla polskiej kultury skarby muzeów, bibliotek i archiwów Lwowa. Najeżdźca ze wschodu położył łapę na gromadzonych przez stulecia dobrach kultury polskiej. Nie pomogły podejmowane przez społeczeństwo zabiegi, starania o zwrot bezcennych zabytków kultury,

W rezultacie Polska otrzymała jako „dar” pewną część zbiorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich „Ossolineum”. Specjaliści oceniają, że zwrócono Polakom zaledwie 20% całości zbiorów.

Kolekcja muzealna Bolesława Orzechowicza niestety pozostała we Lwowie. Tylko nieliczne przedmioty trafiły do kraju.

W jednym z następnych numerów „Cracovia–Leopolis” zamieścimy dokładny opis kolekcji muzealnej Bolesława Orzechowicza.

Przy pisaniu tekstu korzystałem z *Polskiego Słownika Biograficznego* i *Wikipedii*.

# Okupacyjne wierszyki Henryka Greba

**S**pośród lwowskich wierszy i wierszyków, tak pięknie ukazujących humor i dowcip tego miasta, warto przypomnieć kilka tych, które powstawały w najmniej po temu sprzyjających czasach. Na łamach „Cracovia–Leopolis” pisano już o tym: w numerze 3 z 2007 r. publikując fragment opracowania Stanisława Sierotwińskiego *Kronika życia literackiego w Polsce pod okupacją hitlerowską* oraz w numerze 1 z 2008 r. w tekście Leszka Golińskiego pt. *Nad zagasłą Żagwią*.

Przypomniano w nich konspiracyjną grupę poetycką „Żagiew”, czynną w latach 1942–1944. Należeli do niej m.in. Maria Bielecka-Kasprowiczowa, Bronisław Król, Leszek Majewski, Jerzy Hordyński, Leszek Goliński oraz Henryk Greb. Ten ostatni, urodzony we Lwowie 11 listopada 1916 r., student prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza, podczas okupacji niemieckiej pod pseudonimem „Jan Obuch” pisywał wiersze i felietony do ukazującej się oficjalnie „Gazety Lwowskiej”, której stroną kulturalną zawiadywał wówczas znany pisarz Stanisław Wasylewski. Henryk Greb pisywał tam do popularnej rubryki „Na dzień dobry” od końca 1942 do końca 1943 r. Równocześnie w jego własnym mieszkaniu spotykali się członkowie „Żagwi” – ich wspólnym dziełem były konspiracyjnie opublikowane tomy wierszy *A imię jego jest 44 i Śpiew wojny*.

Niewiele wiadomo o krótkim życiu Henryka Greba, który zmarł licząc raptem 40 lat w Legnicy 13 listopada 1956 roku. W zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie znajduje się zbiór zatytułowany „Wiersze satyryczne Jana Obucha – Henryka Greba. Gazeta Lwowska 1943–1944” (sygn. 8081), wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pochodzący ze spuścizny Stanisława Sierotwińskiego, choć autor wstępu poprzedzającego zbiór nie został wymieniony. Pisał on:

„Zgodnie z zamiarem, aby udokumentować dokładniej życie literackie w ośrodkach dotychczas mniej opracowanych, o specjalnych warunkach i dla uzupełnienia posiadanych już materiałów – (twórczość grupy „Żagiew”) oraz z uwagi na wyjątkowo wysoki poziom materiałów literackich w «Gazecie Lwowskiej», co było wynikiem faktu, że redagował ten dział Stanisław Wasylewski, dobrze wykorzystując swe stanowisko (po wojnie był oskarżony z tego powodu o kolaborację i zrehabilitowany), opracowanie literackiej zawartości tego pisma ma pełne uzasadnienie. Ciekawa jest już ewidencja przedruków z dawniejszej literatury, utworów najlepszych pisarzy o treściach patriotycznych zręcznie «przemycanych». Były tam też wiersze poetów zaangażowanych w literackim życiu konspiracyjnym (np. Henryka Greba piszącego pod pseudonimem «Jan Obuch», Bronisława Króla i in.). Warto zauważyć, że aktualna satyra jest ciekawym przyczynkiem do okupacyjnych zjawisk, zawiera wiele cennych realiów ówczesnego życia, a także aluzji i akcentów, zrozumiałych dla polskiego czytelnika, choć pozornie niepodjętych. Celował w tym właśnie Henryk Greb, który wg relacji jego żony nie pobierał honorariów za swe utwory, przekazywał je redakcji używając pośrednictwa i pod pseudonimem, a traktował to jako rodzaj dywersji biorąc jednocześnie udział w życiu konspiracyjnym (i on również po wojnie został oczyszczony z wszelkich zarzutów)” (rkps 8081, k. 1).

Przypomnijmy więc kilka wierszy Henryka Greba, właśnie zawierających cenne realia ówczesnego życia okupacyjnego. On sam uważał je za „przyjemność odciągania ludzi od trosk codziennych lapidarną a dowcipną obserwacją życia” (rkps 8081, k. 52). Na początek niech będą to utwory dotyczące sfery interesującej dla każdego: jedzenia i problemów aprowizacyjnych. Bo-



lesny to humor, zrozumiały również i dla kolejnych pokoleń Polaków, którzy – zaopatrzeni w kartki żywnościowe bądź kupujący rozmaite produkty na czarnym rynku – borykali się z tymi problemami także i długo po wojnie. A ich autor, zapomniany obecnie

Henryk Greb, śmiało może być uważany za młodszego brata Henryka Zbierzchowskiego i Jana Zahradnika. Poczytajmy zatem, jak można było z gorzkim humorem pisać wiersze o jedzeniu we Lwowie zimą 1943 roku...

## *Po świętach*

Tyle potraw przeróżnych zjadłem przez te święta  
Że muszę je tu spisać, by dłużej pamiętać:

Wigilijną kolejkę przysmaków dwunastu  
Otwarto *clou* wieczoru: kartofle z omastą,  
Po nich barszcz ziemniaczany i także w nim uszka  
I rybki przydziałowe z kartoflami w brzuskach.

Z kartoflami: pierogi, gołąbki, paluszki,  
Sznycelki, paluszki, knedelki, racuszki;  
Wreszcie słodkie desery z kartoflanej mączki:  
Leguminy, budynie, ciasteczka i pączki.

W czasie wizyt świątecznych u bliskich krewniaków,  
Połknąłem takie dania: słodki klops z ziemniaków,  
Kartofelki na sypko, na miękko, na twardo,  
Maczane w masłomiodzie, duszone z musztardą,

Upieczone w popiele, grzane na przypiecku,  
A dalej: po francusku, hiszpańsku, turecku  
I nawet po murzyńsku: łykane z łupami,  
Jak również po hindusku: nadziane szpilkami;

W tajemniczym sosie à la Arsen Lupin,  
À la metr hotelowy, à la madame Dupin,  
Ziemniaczane przystawki, nadstawki, bigosy,  
Kartoflane sałatki – ale chyba dosyć.

W niedzielę do nikogo nie poszedłem w gości  
Brzuch miałem jak bania, gorączkę i mdłości  
Co zjadłem pojedynczo, oddawałem hurtem  
Cały połów świąteczny szedł za łóżka burtę...

Nie wiedząc już co począć, gdzie szukać ratunku,  
Chwyciłem za butelkę najczystszej trunku.  
Pociągnąłem – i nagle smak poczułem znany:  
„Och!” – jęknąłem – „I to także... wywar kartoflany”.

„Gazeta Lwowska” 1943, nr 2 z dn. 3–4 I

## Zaginiona kotka

Wczoraj anons dała ciotka,  
Że jej znikła ruda kotka.  
Ruda kotka z białym nosem,  
Tłustym brzuszkiem, długim włosiem.

Wśród ogłoszeń czytam dzisiaj:  
„Do sprzedania skóra lisia.  
Niżej nieco: „Zjedz pasztecik  
W jadłodajni Anny Krecik”.

Ciociu, ciociu, nie wiedziałas  
Jakie skarby w domu miałaś...

Gazeta Lwowska 1943, nr 3 z dn. 5 I

## Dzisiejszym kandydatom do żeniaczki

Jeśli pragniesz, młodzieńcze, pojąć dzisiaj żonę,  
Wpierw zadaj jej pytanie niżej wymienione:  
Czy ma na wsi stryjaszka, a ciotkę w bakalii?  
Czy potrafi bez mydła uprać gatki w balii.  
Sobie z starych firanek zszyć suknię jak bajka?  
A twe spodnie dziurawe wymienić na jajka?  
Dziesięć potraw przyrządzić z zmarzniętych kartofli?  
Smaczny befszyk usmażyć ze starych pantofli?  
Coś jednak zgotować z przydziałowych kości?  
W mig spławić przychodzących na wyzerkę gości?  
Zrobić torcik z pietruszki, upiec chleb bez mąki,  
Słodki nektar wycisnąć z listeczek jablonki?  
„Erzatzową” kawusię osładzać uśmiechem,  
Zdobywać dla cię tytoń, choćby nawet... grzechem?  
Czy umie się oszczędnie obchodzić z opalem,  
A gdy węgla zabraknie – ogrzać cię swym ciałem?  
Kiedy prąd wyłączony – oczami ci świecić?  
Wreszcie kochać namiętnie – a nie rodzić dzieci?  
Jeśli na te pytania odpowie twierdząco –  
Ni ludzie, ni bogowie szczęścia wam nie zmacą!

Gazeta Lwowska 1943, nr 14 z dn. 17–18 I

## Argument

Przez dwa długie dni z rzędu, dwie noce bezsenne,  
Pisał młodzian do panny wyznanie płomienne,  
Każąc świadczyć, że kocha, wszystkim gwiazdom nieba,  
W końcu podarł list długi, wysłał – kilo chleba.

Gazeta Lwowska 1943, nr 48 z dn. 26 II

## Lektura

„Mam książkę” – raz mówiła pewna pani do mnie,  
„Której treść tak potrafi przejąć mnie ogromnie,  
Że wystarczy bym tylko przejrzała jej kartki,  
Już toczy się lawiną wspomnień potok wartki,  
Unosząc mnie ze sobą na falach skojarzeń  
W precudny kraj baśni, zapomnianych wrażeń...”  
„Wiem” przerwałem – „to romans: Mniszkówna lub Czarska  
„Skądże”! – rzekła z uśmiechem – „to książka kucharska”.

Gazeta Lwowska 1943, nr 28 z dn. 3 II

# Ukraińcy w publikacjach Jana i Eugeniusza Romerów

## WPROWADZENIE<sup>1</sup>

Bracia Jan i Eugeniusz Romerowie to wybitni Polacy silnie związani z Galicją i Lwowem. Eugeniusz to znany geograf, geopolityk i kartograf, wielki znawca Galicji, Wołynia i Podola, badacz Rusinów, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza. Swoją wiedzę wykorzystał jako ekspert polskich delegacji na konferencjach pokojowych w Paryżu po zakończeniu I wojny światowej oraz w Rydze po zwycięstwie nad bolszewikami w 1920 roku. Jan Romer z kolei to generał armii polskiej, dowódca Grupy Operacyjnej „Bug”, która w pierwszych miesiącach roku 1919 wyparła oddziały ukraińskie ze Lwowa aż poza Zbrucz. Podobnie jak Eugeniusz, niejednokrotnie wypowiadał się on w sprawach związanych z polityką odrodzonego państwa polskiego w stosunku do mniejszości etnicznych, a zwłaszcza w stosunku do Rusinów.

Romerowie żywo interesowali się m.in. sprawami związanymi z sytuacją narodu, a później także państwa polskiego, a zwłaszcza naszego stosunku do innych narodów i związanymi z tym kierunkami polityki zagranicznej. Narodem, z którym najwięcej mieli do czynienia i na którego temat najczęściej się wypowiadali, byli Rusini, dzisiaj powszechnie zwani Ukraińcami. Ponieważ Ukraina znajduje się obecnie, jako niepodległe państwo, w sytuacji szczególnie trudnej, a miliony jej obywateli zmuszone są emigrować (w największej liczbie do Polski), stosunki polsko-ukraińskie stały się jednym z głównych tematów debaty publicznej. W tym kontekście, a także w obliczu współczesnej wojny kulturowej, której jednym z tematów jest tzw. tolerancja i stosunek do wielokulturowości, wskazane jest odwołanie się do doświadczeń sprzed wieku, które były udziałem Jana i Eugeniusza Ro-

merów. Okazuje się bowiem, że tematyka relacji między narodami, a zwłaszcza stosunków polsko-ruskich jest dzisiaj nie mniej aktualna jak przed stu laty.

## FORMACJA IDEOWA BRACI ROMERÓW I ICH POGLĄDY NA PROBLEMY NARODOWOŚCIOWE

Romerowie wychowali się w Galicji, czyli w jednej z prowincji wielonarodowego cesarstwa, w rodzinie mieszanej, by nie powiedzieć wielokulturowej. Majątek rodzinny został utracony przez ich dziadka Henryka – powstańca listopadowego. Dzięki protekcji możnych przyjaciół rodziny Romerów, syn jego, a zarazem ojciec Jana i Eugeniusza, Edmund, będąc w wieku 10 lat dostał się do najbardziej prestiżowej szkoły w Cesarstwie, czyli do Collegium Theresianum. Jak pisze Eugeniusz Romer o swoim ojcu, doświadczony od zarania swego życia gorczy nepotyzmu i protekcji, wydany na pastwę germanizacji, tam został ukształtowany i przygotowany do służby w administracji cesarskiej (E. Romer 1988, s. 18). Odkomenderowany w 1868 roku do namiestnictwa lwowskiego nie znał już nawet języka polskiego (oprócz trzech polskich pieśni patriotycznych, wyuczonych podczas kilkumiesięcznego udziału w powstaniu styczniowym). Nie znała go także matka Eugeniusza i Jana – Irena, starannie wykształcona rodowita Węgierka z rodu Körtvélyessy, pochodzącego z południowo-wschodnich kresów Wielkich Węgier (okolice miasta Nagyvárad, ob. Oradea w Rumunii). Językiem najczęściej używanym w domu Romerów był francuski, a na drugim miejscu – niemiecki. Obydwoje rodzice byli więc świetnie wykształceni, ale, co podkreśla Eugeniusz Romer, na uczelniach szczególnego rodzaju. Były to mianowicie ... *instytucje międzynarodowe, hodujące lojalny oportunizm z jednej, a indyferentyzm narodowy, może nawet religijny z drugiej strony*

<sup>1</sup> Skrócona wersja artykułu opublikowanego w „Przeglądzie Geopolitycznym”, 26/2018, s. 32–51



[...] (op. cit., s. 475). Z relacji Eugeniusza Romera wynika, że atmosfera w domu rodzinnym była kosmopolityczna, liberalna, pozbawiona polskich tradycji narodowych i religijnych. A mimo to obydwaj bracia już w okresie gimnazjalnym w Nowym Sączu ślubowali przez Bogiem, że życia swoje poświęcą walce o wolną Polskę. Stało się tak dlatego, że mimo wszystko Edmund Romer wychowywał swoje dzieci w duchu patriotyzmu polskiego, a postawę tę zaaprobowala także jego żona. Sprzecznosc tę Eugeniusz Romer tłumaczy tym, że ojciec jego uległ wprawdzie germanizacji, ale tylko *zewnętrznej*, czyli powierzchownej, która nie zdołała zabić w nim polskiego patriotyzmu. W odniesieniu do matki napisał, że indyferentyzm narodowy i kosmopolityzm nie mogły jej być wpojone podczas pobytu na uczelni skutecznie, gdyż są to cechy ... *stojące w całkowitej sprzeczności z naturą węgierską*. Świadomi krzywdy, jakiej doznał za młodu ich ojciec, Jan i Eugeniusz Romerowie stali się, jak sami to określali „polskimi narodowcami”. Jan widział nadzieję na odrodzenie Polski w sojuszu z Austriakami i Niemcami, gdyż jak uważał: *najbliższą korzyścią, jaką naród polski może osiągnąć, jest złamanie kajdan moskiewskich..., co najłatwiej osiągnąć przy... mimowolnej pomocy drugiego wroga śmiertelnego – Niemiec i Austrii, które... zwyciężą, ale z takim wysiłkiem i wyczerpaniem, że zmuszone*

*będą zabiegać o przyjaźń narodu polskiego* (J. Romer 2011, s. 37, 96). Eugeniusz natomiast był nieprzejednanym wrogiem Habsburgów, ... *których rozkładowa w naszym społeczeństwie działalność stawiła w pierwszym szeregu wrogów Polski* (op. cit., s. 26). Przez wiele lat ten swój specyficzny nacjonalizm Eugeniusz Romer łączył z liberalizmem. Godzenie nacjonalizmem i patriotyzmu z jednej strony z liberalizmem zabarwionym kosmopolityzmem stanowiło dla niego poważny dylemat. Trwał on aż do połowy lat 30., kiedy Romer definitywnie zerwał z liberalizmem. Oceniając swoje wcześniejsze życie Romer pisał: *Chyba się nie omyłem, gdy jako winną przyczynę oskarżę tu ten duch wieku, który tak bujnie rozkwitnął i w naszym rodzicielskim domu: liberalizm nakazujący pobłażliwe milczenie i wstrzymywanie się od osądzania, choćby swoich najbliższych i choćby w sprawach w pojęciu sądującego najbardziej ubolewania godnych. W tych refleksjach ja, stary i nalogowy liberał, zajrzałem w oczy bodaj po raz pierwszy spustoszeniu, jakich liberalizm ostatnich lat XIX wieku dokonał w duszy jednostkowej i społecznej* (Romer 1988, s. 38). Jan Romer, podobnie jak jego brat, reprezentował najwyższy stopień poświęcenia dla sprawy polskiej. Ponieważ kształcił się na uczelni wojskowej, nigdy nie był zwolennikiem liberalizmu. Komentarza wymaga nacjonalistyczny aspekt osobowości Romerów. Mimo zdecydowanej wrogości do poszczególnych mocarstw, Romerowie nie żywili najmniejszej urazy w stosunku do przedstawicieli żadnego narodu. Nawiązywanie relacji z Niemcami ułatwiała im kosmopolityczne wychowanie, pozwalające na poprawne zrozumienie sposobu ich rozumowania, a także doskonała znajomość języka niemieckiego. Stosunek Romerów do Niemców nie różnił się od ich stosunku do przedstawicieli innych nacji, w tym także do Rusinów, których uważali za narodowość pobratymczą z racji pochodzenia oraz silnego wymieszania ludu polskiego i ruskiego. Wiązanie sympatii w stosunku do danego narodu z wrogością do państwa przez ten naród zamieszkiwanego nie jest i dzisiaj zjawiskiem powszechnym. Najczęściej jest tak, że odpowiedzialność za politykę państwa spada na naród i jego poszczególnych przedstawicieli. Z drugiej strony cechy na-

rodowe utrwalone w świadomości społecznej przerzucane są na państwo tworzone przez naród będący nośnikiem tych cech. Bracia Romerowie stanowią więc istotny wyjątek od zasady utożsamiającej naród z państwem. Wyjątkową otwartość Eugeniusza Romera wobec przedstawicieli wszystkich narodowości, bez względu na stan oficjalnych stosunków międzypaństwowych, tłumaczą ponadto jego cechy jako geografą. Romer żywił przekonanie, że najważniejszą wartością pielęgowaną w geografii jest różnorodność rozpatrywana w aspekcie terytorialnym. Zróżnicowanie powierzchni Ziemi to przecież racja bytu geografii, a jednym z przejawów tego zróżnicowania jest obecność wielu narodów. Jako polski patriota, Romer najbardziej cenił dorobek rodzimej kultury. Zdawał sobie jednak sprawę, że kultura narodu polskiego może ukazać swoją wartość tylko w zestawieniu z kulturami innych narodów. Wynika stąd, że wszystkie narody są niezbędne z punktu widzenia patriotyzmu polskiego, jak i każdego innego. Żaden patriotyzm, również polski, nie miałby racji bytu, gdyby nie istniały inne narody. Dlatego w rozumieniu Romera to właśnie nacjonałiści, do których on sam siebie zaliczał, są żywotnie zainteresowani istnieniem (przetrwaniem) innych narodów. Jeżeli któremuś z nich zagraża wyginięcie, to nie od kosmopolitów należy oczekiwać działań mających temu zapobiec. Dla nich zróżnicowanie etniczne (i każde inne) to anarchizm, przyczyna utrudnień w życiu i dodatkowych kosztów. Tylko od ludzi ceniących własny naród można oczekiwać szacunku do innych narodów. Romerowskie „geograficzne” rozumienie nacjonalizmu znacznie różni się od współczesnego, w którym szlachetne uczucie narodowego patriotyzmu utożsamiane bywa z szowinizmem, gdzie szacunek do jednego narodu implikuje nienawiść do pozostałych. Takie podejście, ignorujące znaczenie różnorodności kulturowej jako wartości godnej ochrony, jest sprzeczne z dorobkiem światowej myśli geograficznej. Eugeniusz Romer, który uznawał konieczność dostosowania norm życia społecznego do zasad wynikających z prawdy naukowej, wskazuje swoją postawą, jaki stosunek do narodów i narodowości jest zgodny z podstawowymi zasadami geografii, w szczególności z uzna-

niem różnorodności jako wartości. Wypowiedzi Jana Romera na temat Rusinów wskazują, że podzielał on życzliwą ciekawość i troskę o losy innych narodów, którą reprezentował jego brat-geograf. To właśnie różnorodność etniczna wytwarza między narodami współzależności, stymuluje współpracę i powoduje, że wszyscy ludzie tworzą jedność złożoną z odmiennych i komplementarnych względem siebie kultur narodowych. Jest konieczne, aby geografia odtworzyła w romerowskim duchu znaczenie humboldtowskiego hasła „jedność w różnorodności”, by następnie pomogło ono w koniecznej redefinicji ważnych i często w debacie publicznej stosowanych pojęć, takich jak nacjonalizm. Jest to niezbędne dla ograniczenia powszechnego dzisiaj semantycznego chaosu, który towarzyszy trwającej w mediach i środowisku akademickim wojnie informacyjnej.

#### **ETNICZNA MOZAIKA POLSKO-RUSKA W GALICJI WSCHODNIEJ**

Na osobowość Romerów składał się patriotyzm polski i nacjonalizm, a z drugiej strony otwartość i życzliwa ciekawość wobec innych narodów. Wszelkie przejawy wrogości między Polakami a Rusinami były dla nich osobistym dramatem. Świadectwem tego jest wypowiedź Jana: *Zawsze ubolewałem nad fatalnym układem naszych stosunków, zawsze byłem zdania, że – nie zaprzeczając ciężkim winom ze strony Rusinów – za mało czynimy dla stworzenia dobrych stosunków. Dzieje się to niejednokrotnie dla prywaty lub pochodzi z tego rodzaju kalkulacji politycznej: naród polski nie mogąc Rusinów zasymilować, świadomie podsyca jego dążności separatystyczne, ażeby takimi dążnościami kierowany, nie utonął w morzu narodu rosyjskiego, naszego odwiecznego wroga [...]* *Słyszałem wiele o okrucieństwach Ukraińców – smutnym one świadectwem. Byłem zawsze dumny z rycerskiego stosunku do nich, zawsze pragnąłem braterstwa tych narodów, tak trudnego, a tak potrzebnego dla obu stron* (J. Romer, 2011, s. 32, 194). Obydwa bracia podkreślali dużą liczbę małżeństw mieszanych polsko-ruskich: w poszczególnych powiatach Galicji Wschodniej stanowiły one od 16 do 39% i znaczny stopień wymieszania ludności (Eugeniusz Romer szacował, że około 30% mieszkań-

ców Galicji Wschodniej miało mieszane pochodzenie; zidentyfikował ponadto w Galicji 170 enklaw z przewagą ludności polskiej. Według Jana, podważa to tezę, jakoby obydwa narody rozdzielała nienawiść, natomiast Eugeniusz w przemówieniu podczas wiecu w Krakowie 12 grudnia 1918 roku przekonywał, że wyjątkowe przemieszanie ludności polskiej i ruskiej na rozległych obszarach Galicji Wschodniej jest dowodem wielowiekowego zgodnego współżycia. Brak wyraźnej granicy etnograficznej oddzielającej żywioł polski od ruskiego to dla Romera... **dokument geograficzny silniejszy od wszystkich świadectw sporadycznych, czerpanych z historii. I czyż dla tak naocznie udowodnionej polskiej tolerancji, na linii odgraniczającej czysto polskie obszary od osad z nieznaczną przewagą ruską ma polskość już tracić wszelkie prawa na rzecz tego elementu, z którym wieki zgodnie współżyła i byłaby nadal współżyła, gdyby nie zakaźne wyziewy, które „bagny” austriackie wydawało?** (Romer 2010, s. 51–52).

#### **WPŁYW WIEDNIA I BERLINA NA STOSUNKI POLAKÓW I RUSINÓW**

Zacytowany wyżej fragment stanowi nie tylko logiczne wytłumaczenie przyczyn przemieszania ludności w Galicji Wschodniej, ale także zawiera ostre oskarżenie władz austriackich, które w opinii Romera odpowiadają za wzniecanie konfliktu i podburzanie Rusinów przeciwko dominującą ekonomicznie i kulturowo Polakom. Romer przypisuje administracji austriackiej prowadzenie polityki *divide et impera*, mającej na celu osłabienie żywiołu polskiego, m.in. drogą inspirowania ruskiej świadomości narodowej w opozycji do polskość. Dowodem na niemiecką ingerencję w stosunki między Polakami a Rusinami w Galicji jest 97 publikowanych już w 1913 roku dokumentów pochodzących z archiwum organizacji o nazwie *Verein zur Förderung des Deutschtums in den Ostmarken* (Stowarzyszenie na Rzecz Promocji Niemczyzny w Marchii Wschodniej znane jako *Hakata*), dotyczących niemieckiej protekcji i finansowego wsparcia dla antypolskich ruchów ukraińskich, dyskutowanego w parlamentach Wiednia i Berlina (Lutostawski, Romer, 1919). Ponadto, wojsko polskie w marcu 1919 roku we Lwowie zdobyło od wycofującej się armii ukraińskiej

liczne dokumenty, w tym listy arcybiskupa Szeptyckiego, który miał zostać duchowym przywódcą i metropolitą ukraińskim, oraz arcyksięcia Wilhelma – kandydata na ukraiński tron po rozpadzie Cesarstwa. O zaangażowaniu władz wiedeńskich w wojnę polsko-ruską świadczy fakt, że ukraińskimi sotniami, którym Austriacy przekazali swoje arsenały we Lwowie, dowodziło bardzo wielu dowódców armii cesarskiej, w tym sam arcyksiążę Wilhelm (J. Romer 2011). O tym, że konflikt polsko-ruski nie istniałby bez ingerencji niemieckiej i austriackiej, rzeczywisty konflikt dotyczy zaś nie Polski i Rusi, ale Polski i Rosji, przekonali się francuscy eksperci po jednej z prezentacji Eugeniusza Romera. Tematykę toczonych sporów i nastrojów spotkania najlepiej wyraża fragment relacji Romera, w którym w temacie stosunków polsko-ruskich uzyskał on nieoczekiwane wsparcie ze strony francuskiej:

*Oto gdy ja akcentowałem brak nienawiści między Rusinami i Polakami, a cyframi małżeństw mieszanych dowodziłem możliwości dobrego ich współżycia, przede wszystkim w chwili, gdy runie zaborcza intryga [...], wtedy zabiera głos Cazin i [...] przedstawia następującą sytuację w obozie jeńców polskich w Le Puy, którego był komendantem. Na około 10 000 jeńców polskich pochodziło 2500 z Galicji, w tej liczbie około 800 Rusinów. Nie można powiedzieć, by się oświadczyli za powstanie do Polski i Polaków przyjaźnią: spora ich część jednak przeszła do wojska polskiego. Ci jednak, którzy się deklarowali do Polaków z nienawiścią, zawsze zdradzali wyraźne ślady wpływów niemieckich. Ci Rusini nie mówili nigdy ani Lwów, ani nawet Lwiv, ale zawsze mówili Lemberg, a rzeczy kulturalne nazywali powszechnie po niemiecku, np. Schuster itp. To sięgało głębiej do francuskich słuchaczy niż tysiące polskich zapewnień o prusko-austriackim wpływie na rozwój ruchu ukraińskiego (Romer 2010, s. 331–332).*

#### **POLITYKA POLSKA WZGLĘDEM RUSINÓW**

Jan i Eugeniusz Romerowie niejednokrotnie wyrażali się krytycznie na temat polityki prowadzonej przez władze polskie wobec Rusinów. Jan pisał, że *za mało czynimy dla poprawy wzajemnych stosunków*, wypowiedzi Eugeniusza stały się zaś jedną z przy-

czyn jego konfliktu z władzami sanacyjnymi. We wspomnieniach przytoczył on fragmenty referatu przygotowanego w 1942 roku dla rządu polskiego w Londynie, zatytułowanego *Sprawa ruska w przyszłej Polsce*. Referat ten prawdopodobnie nie zachował się, a zawiera poglądy głoszone już w okresie poprzedzającym wojnę. Znajdujemy w nim m.in. krytyczną ocenę działalności władz na południowo-wschodnich obszarach Rzeczypospolitej. Romer uważał, że błędy rządu w Warszawie spowodowały jeszcze gorsze skutki na Rusi od efektów działalności pruskiej komisji kolonizacyjnej w Wielkopolsce. Przytaczając liczne przejawy niekorzystnych dla Polski działań rządu polskiego, począwszy od podporządkowania Radzie Ministrów instytucji administrujących terenami zamieszkiwanymi przez Rusinów w 1920 roku (czyli pozbawienie ich autonomii, por. Gierowska-Kałuża, 2003). Romer zarzucał polskim władzom prowadzenie polityki, której efektem jest pomniejszenie polskiego stanu posiadania na Kresach i zatajanie przed społeczeństwem danych spisowych z 1931 roku, które wycofywanie się polskości dokumentowały. Rząd istotnie zrezygnował z publikacji spisu miejscowości z danymi językowymi, wyznaniowymi i gospodarczymi (op. cit., s. 274). Z dużą goryczą pisze Romer o podjętej w 1932 roku rządowej akcji wycofania z rynku (szczególnie z użytku szkolnego) i konfiskaty wszystkich map etnograficznych, które począwszy od 1923 roku były powszechnie dostępne. Jednocześnie rząd poparł finansowo wydanie *Atlasu*

*Ukrainy* opracowanego przez Wołodymyra Kubijowicza z Uniwersytetu Jagiellońskiego, w którym Ukraina obejmuje obszary od Morza Kaspijskiego po Dunajec. Był to najbardziej jaskrawy przykład protekcyjnej wobec Rusinów polityki rządu polskiego. W obliczu szybkiego wycofywania się żywiołu polskiego na Kresach, władze poszukiwały rozwiązania problemu i wymazania wielkiej masy Rusinów z mapy etnograficznej Polski. Dokonano tego przez zastosowanie odrębnych barw i znaków dla Rusinów, Ukraińców, Hucułów, Bojków, Łemków i „tutejszych”, rozróżniając w każdej z tych grup kategorie wyznaniowe. Poświęcono tej problematyce wielką konferencję Biura Badań Narodowościowych w Ministerstwie Wyznań i Oświecenia Publicznego w dniu 26 czerwca 1939 roku. Romer w piśmie do ministra Świętosławskiego sprzeciwił się sztucznym i nieuzasadnionym próbom *rozparcelowania obrazu kartograficznego Rusinów w Polsce*, jak i bezprecedensowej akcji wykupywania z rynku map etnograficznych przez agentów rządowych.

#### STATYSTYCZNY OBRAZ RUSINÓW I POLAKÓW W GALICJI WSCHODNIEJ

Tym, co może powodować na dzisiejszej Ukrainie niechęć w stosunku do braci Romerów, jest to, że obydwaj bardzo nisko oceniali kapitał społeczny Rusinów. Eugeniusz widział ich najbliższą przyszłość w granicach odrodzonego, wieloetnicznego i tolerancyjnego państwa polskiego. Wszelkie argumenty naukowe wyływające z analiz

**Tab. 1. Cechy społeczne i gospodarcze Polaków i Rusinów w Galicji Wsch. w roku 1913**

Wyszczególnienie	Polacy	Rusini
Udział w zaludnieniu	40%	59%
Udział utrzymujących się z rolnictwa	44%	91%
Dzieci chodzące do szkół na 1000 ludności	181	139
Tytuły wydawanych czasopism	241	56
Uczniowie szkół średnich na 100 tys. ludności	640	230
Studenci uniwersytetów na 100 tys. ludności	175	43
Oszczędności średnie na 1 mieszkańca (w koronach)	47	12
Udział w podatkach bezpośrednich	74%	25%
Wyniki wyborów do parlamentu austriackiego w 1911 roku	38,2%	44,7%

Źródło: Romer, 2010, s. 52–53; Lutosański, Romer, 1919; Romer 1919

**Tab. 2. Produktywność rolnictwa w powiatach Galicji Wschodniej w zależności od udziału rzymskich katolików w zaludnieniu powiatów**

Udział ludności rzymskokatolickiej w powiecie	Udział gruntów ornych	Produkcja pszenicy w kg na 1 mieszkańca
Poniżej 10%	26%	80
10–20%	40%	150
20–30%	53%	210
30–40%	61%	240
40–50%	67%	270
Powyżej 50%	70%	275

źródło: Romer 1920, s. 14

materiałów statystycznych, uwzględniających najmniejsze jednostki podziału administracyjnego i jednocześnie czynnik narodowościowy, które przygotował na Konferencję Paryską, świadczyły na rzecz takiego właśnie rozstrzygnięcia kwestii ruskiej. Materiały, jakie Romer prezentował w Paryżu, ukazują Rusinów jak lud rolniczy, niepiśmienny, przeważnie ubogi i mało gospodarny, często o słabo jeszcze rozwiniętej świadomości narodowej (tab.1).

Ponieważ większość mieszkańców Galicji związana była z rolnictwem, Romer starał się ukazać różnice w produktywności tego sektora gospodarki w poszczególnych powiatach Galicji. Okazuje się, że istnieje ścisła zależność produktywności rolnictwa od udziału ludności wyznania rzymskokatolickiego (tab. 2).

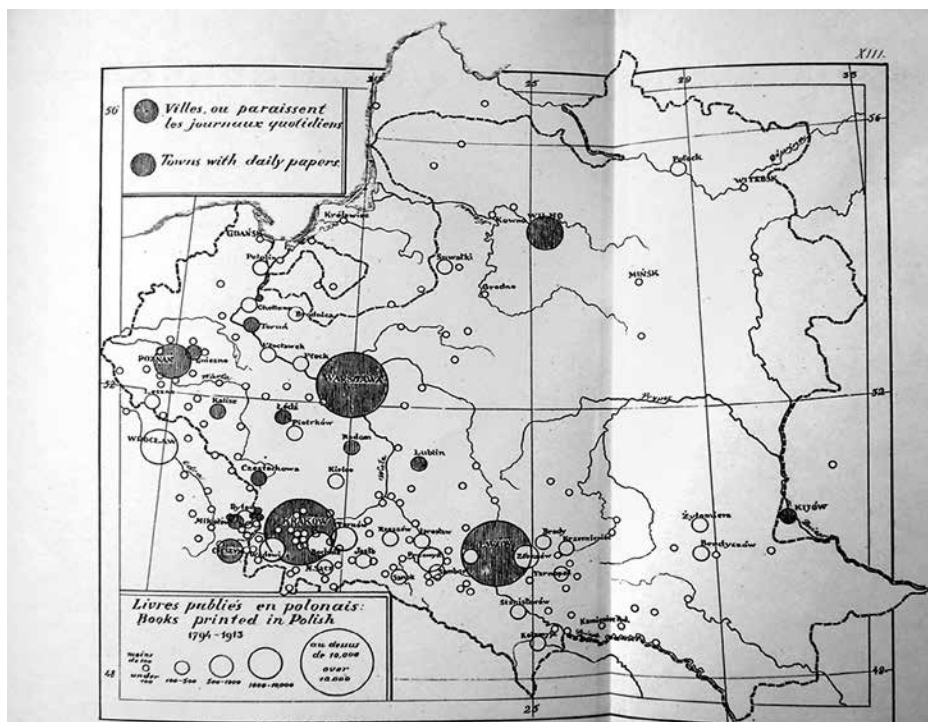
Z danych statystycznych wynika, że poziom rozwoju rolnictwa (intensywność i produktywność) zależy wprost od udziału ludności rzymskokatolickiej, czyli głównie polskiej, w zaludnieniu. Produkcja pszenicy na jednego mieszkańca w powiatach prawie pozbawionych ludności polskiej okazuje się 3,5-krotnie niższa w porównaniu z powiatami zamieszkanymi w połowie przez Polaków. Różnicy tej nie sposób wytłumaczyć czynnikami przyrodniczymi, a więc muszą tu wchodzić w grę cechy społeczno-kulturowe. Wykazując cywilizacyjny prymat ludności polskiej w Galicji Wschodniej, Romer starał się ponadto ukazać ważność tego regionu dla polskiej kultury. Badając rozmieszczenie instytucji decydujących o znaczeniu dla polskiej kultury, wykazał on prymat trzech równorzędnych ośrodków, jakimi są Warszawa, Lwów i Kraków (ryc. 1).

Pod względem ilości wydawanych periodyków w języku polskim w XIX wieku przodowały: Warszawa (267 tytułów), Lwów (217) i Kraków (165). Na kolejnych miejscach znajdowały się Poznań (77), Wilno (29) oraz Chicago (24) (Romer 1919; 1920, s. 34–35; Pawłowski 1919).

Prace Eugeniusza Romera wyrażają przekonanie, że Rusini nie tylko nie mają potrzebnej do walki potęgi moralnej, ale że nie mają niezbędnej do życia państwowego siły kultury materialnej i intelektualnej (Romer 1919, 1920; Pawłowski, 1919). Był to najważniejszy argument, na którego podstawie Romer skutecznie postulował na konferencji wersalskiej, a następnie bronił w Rydze, idei włączenia Galicji Wschodniej do Polski. Podobne przekonanie wyraził Jan Romer, który spotykał się z najwyższymi przedstawicielami narodu ukraińskiego: *W narodzie i w rządzie ukraińskim bezsprzecznie daje się odczuwać brak zmysłu realnego. Są wielkie braki ekonomiczno-społeczne, a paskarstwo horrendalne. Chłop ma masę pieniędzy, rząd ich wcale nie ma. Polska w znacznie mierze opłaca administrację ukraińską, a w samej Winnicy urząd gospodarczy dywizji polskiej żywi miejscowe wojsko ukraińskie, w tym kraju mlekiem i miodem płynącym* (J. Romer 2011, s. 331).

Jako wytrawni geopolitycy, bracia Romerowie zdawali sobie sprawę, że pomyślność i rozwój niepodległej Polski wymagają uregulowania stosunków z innymi narodami Europy Wschodniej, co może okazać się sprzeczne z celami politycznymi potężniejszych od nas sąsiadów, Niemiec i Rosji. W sposób najbardziej lapidarny wyraził to Jan Romer:





Ryc. 1. Rozmieszczenie ośrodków wydawniczych w języku polskim w okresie zaborów (wg: Romer 1920). Jasne kręgi: wydawnictwa książkowe, ciemne kręgi: gazety

... dzieje wymagały i wymagają wzajemnej pomocy Polski i Ukrainy przeciw otaczającym ich przemożnym wrogom, że zwłaszcza obecna nowa fala ofensywy bolszewickiej wymaga od obu narodów największych wysiłków i to wysiłków skoordynowanych. Polska potrzebuje silnej Ukrainy i chce jej szczerze pomóc, a ze swej strony dla rozwinięcia armii potrzebuje z Ukrainy pomocy w żywności i koniach (J. Romer, 2011, s. 328). Generał Romer bardzo pragnął wolnej Ukrainy i polsko-ukraińskiej współpracy pisząc: ... szkoda że ta myśl (o wolnej Ukrainie, przyp. WW) rodziła się tak późno, że musiała być zasadzona na glebie zachwaszczonej pokrzywą wiekowych nieporozumień narodu polskiego i matoruskiego – ale ta myśl jest zdrowa i szlachetna; nie traćmy wiary w jej spełnienie (J. Romer, op. cit., s. 278). Myśl Jana Romera jest godna przypomnienia dzisiaj, kiedy dochodzi do sytuacji, w której nie tylko rządy i politycy, ale i komisje historyków polskich i ukraińskich nie są już w stanie dojść do porozumienia. Nadal umacnia się ukraiński szowinizm, oparty na ideologii neo-banderyzmu i przedwojennych koncepcjach ukraińskiej geopolityki, czemu sprzyja tragiczna sytuacja gospodarcza, a także brak odpowiedniej reakcji ze strony Unii Europej-

skiej, państw zachodnich, jak i Polski, które zdają się dostrzegać jedynie antyrosyjski charakter tego ruchu

## LITERATURA

- Gierowska-Kałuża, J., 2003, *Zarząd Cywilny Ziemi Wschodniej (19 lutego 1919 – 9 września 1920)*, Wydawnictwo IH PAN i Neriton, Warszawa.
- Lutosławski, W., Romer, E., 1919, *The Ruthenian Question in Galicia*, Imprimerie Levé, Paris.
- Pawłowski, S., 1919, *Ludność rzymskokatolicka w polsko-ruskiej części Galicji z dwoma mapami*, Prace Geograficzne (wydawane przez Eugeniusza Romera).
- Romer, E., 1919, *Struktura społeczna i kultura materialna Polaków i Rusinów w Galicji Wschodniej*, Książnica Polska T. Naucz. Szkół Wyższych, Lwów.
- Romer, E., 1920, *Études de civilisation comparée (Polonais, Ruthènes, et Allemands)*, Henri Barrère, Paris.
- Romer, E., 1988, *Pamiętniki. Problemy sumienia i wiary*, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków.
- Romer, E., 2010, *Pamiętnik paryski 1918–1919*, t. 1–2, red. S. Sierpowski, Oficyna Wydawnicza FOKA, Wrocław.
- Romer, J., 2011, *Pamiętniki*, Muzeum Historii Polski, Bellona, Warszawa.

# Rola kresowian w życiu miasta górnośląskiego po I i po II wojnie światowej na przykładzie Chorzowa

**H**istoria Górnego Śląska, zwłaszcza XIX i XX wieku, jest tematem wzbudzającym wiele kontrowersji, a nawet sporów i konfliktów, nie tylko, a nawet nie przede wszystkim o charakterze naukowym, lecz politycznym. Wystarczy wspomnieć zaciekle bój sprzed kilku lat o charakter wystawy stałej w oddawanym wówczas do użytku Muzeum Śląskim, zakończony dymisją ówczesnego dyrektora Leszka Jodlińskiego.

Główną oś tego sporu można zdefiniować jako kontrowersje dotyczące polskości Śląska – czy była ona zjawiskiem historycznie ukształtowanym jako podstawowy element tożsamości Ślązaków (a ściślej mówiąc Górnoślązaków), czy też została tu ona sztucznie wprowadzona przez ludność napływową i polską propagandę. Jednym z głównych pól tego sporu jest na przykład spór o charakter powstań śląskich – zależnie od reprezentowanej opcji przedstawianych jako zryw narodowyzwoleńczy polskiej w swojej masie ludności górnośląskiej, czy też jako wojna domowa przeciw niemieckiej władzy państwowej, wywołana przez podżegaczy, głównie z Wielkopolski. Jak można dziś sądzić, spór ten daleki jest od rozstrzygnięcia, o ile w ogóle zostanie jednoznacznie rozstrzygnięty; ważne więc wydaje się nie rzucanie kolejnych inwektyw pod adresem jednej lub drugiej strony, ale gromadzenie rzetelnych informacji i uzasadnionych merytorycznie argumentów.

Moje opracowanie wyływa z takich właśnie pobudek; pragnę w nim ukazać w sposób możliwie obiektywny wpływ kresowian, czyli osób wywodzących się z dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, na życie Górnego Śląska na przykładzie miasta Chorzowa.

Zagadnienie kresowian na Górnym Śląsku, zwłaszcza po II wojnie światowej, kiedy skutek decyzji jałtańskich napłynęli tu w dużej masie zajmując miejsce usuniętych

Niemców (bądź osób uznanych za Niemców) również należy do kontrowersyjnych. W pierwszych latach powojennych często byli oni postrzegani przez ludność miejscową jako element obcy etnicznie i kulturowo, zajmujący Ślązakom mieszkania, atrakcyjne miejsca pracy, często wywyższający się bądź nawet pogardzający rodzimą ludnością, wyzywający ją od Szwabów itp.<sup>1</sup> Abstrahując od słuszności powyższych zarzutów trzeba stwierdzić, że w miarę upływu czasu stawały się one coraz rzadsze, a dziś w zasadzie postępują się nimi najbardziej zaciekli propagatorzy swoiście rozumianej autonomii Śląska. Miejsce tego typu poglądów zaczęło coraz częściej zajmować dostrzeganie pozytywnych aspektów przybycia kresowian na Śląsk, jak ich rola w rozwoju oświaty, nauki, myśli technicznej, szeroko rozumianej kultury. Naturalnie, dużą rolę odegrały tu następujące stopniowo acz nieuchronnie procesy integracji społecznej, których najbardziej zmiennym przejawem są małżeństwa mieszane.

Przez kresowian będę rozumieć osoby nie tylko urodzone na Kresach (choć generalnie tak w ich wypadku było), lecz także tam wychowane i wykształcone, które przybyły na Górny Śląsk, tu się osiedliły i pracowały, jeśli nie do końca życia, to w każdym razie przez dłuższy czas. Istotnym pytaniem jest, dlaczego wybrałem właśnie Chorzów, skoro w potocznym rozumieniu z kresowianami na Górnym Śląsku kojarzy się przede wszystkim Bytom, w dalszej kolejności Gliwice i Zabrze. Powodów jest kilka. Pierwszy z nich to fakt możliwości porównania obecności kresowian w górnośląskim mieście po

<sup>1</sup> Sprawy te opisuje m.in. Zygmunt Woźniczka: *Represje na Górnym Śląsku*, Katowice 2010, s. 307–312. Zob. także *Bytom powojenny 1945–2002 we wspomnieniach i na fotografii*, pod red. Jana Drabiny, Bytom 2002, s. 34–39

I i po II wojnie światowej, to zaś w przypadku wyżej wymienionych miast z przyczyn historycznych nie jest możliwe. W wypadku Katowic z kolei występuje w okresie po I wojnie światowej nadreprezentacja tego środowiska, wywołana ich funkcją stołeczną w skali województwa. Ważną przyczyną była też istniejąca w wypadku Chorzowa znakomita baza źródłowa do tego rodzaju badań w postaci *Chorzowskiego słownika biograficznego*<sup>2</sup> pod redakcją nieżyjącego już niestety Zbigniewa Kapały. Mogę nadmienić, że w gronie współautorów *Słownika* znalazł się także również nieżyjący już mój ojciec, Władysław Wilgusiewicz. Został on do niego zaproszony z racji swoich prac biograficznych dotyczących śląskich energetyków – lwowian i kresowian<sup>3</sup>. W wypadku *Słownika* wziąłem pod uwagę tom 2, dotyczący lat 1922–1945, oraz tom 3, dotyczący lat po 1945 niemal do końca XX wieku, analizując postacie – subiektywnie przeze mnie uznane za kresowian – których biografie tam umieszczono. Nasuwa się jednocześnie uwaga, że tego rodzaju dobór postaci – pod kątem zasług dla miasta – nie daje pełnego obrazu, gdyż pomija osoby niczym się niewyróżniające, czyli tzw. szarych ludzi, a także – niewątpliwie występujących choćby na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa – ludzi z marginesu czy wręcz zwykłych przestępców. Wyjaśniam więc, że nie była moim celem gloryfikacja kresowian i ukazanie ich wyłącznie w dobrym świetle jako ludzi jednoznacznie zasłużonych dla miasta, lecz pokazanie ich miejsca i dorobku wśród innych grup społecznych – rdzennych Ślązaków, przybyszy z Galicji Zachodniej (Kraków i okolice), Wielkopolski itd. Nie jest to też praca o charakterze socjologicznym, która pokazałaby – niewątpliwie pasjonujące – procesy współżycia różnych grup ludności oraz integracji społecznej na terenie miasta, w tym i negatywne zjawiska z tym związane. Tego rodzaju ujęcie, jak przeze mnie zaprezentowane, znalazło wyraz podczas konferencji naukowej zorganizowanej z inicjatywy profesorów Uniwersytetu Śląskiego oraz Ka-

<sup>2</sup> *Chorzowski słownik biograficzny*. Edycja nowa, pod red. Zbigniewa Kapały, t. 2, Chorzów 2008, t. 3, Chorzów 2011

<sup>3</sup> Władysław Wilgusiewicz. *Energetycy lwowiaci na Śląsku*, Katowice 1998. Tenże. *Energetycy kresowiaci na Śląsku*, Katowice 1999

towickiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, zatytułowanej *Niezwykła więź Kresów Wschodnich i Zachodnich. Wpływ lwowian na rozwój nauki i kultury na Górnym Śląsku po 1945 roku*<sup>4</sup>. W tym nurcie sytuuje się również działalność Śląskiej Izby Lekarskiej dotycząca upamiętnienia śląskich lekarzy-kresowian<sup>5</sup>, Politechniki Śląskiej i Muzeum w Gliwicach – wydanie tomu zawierającego sylwetki profesorów lwowskich pracujących na Politechnice Śląskiej<sup>6</sup>, a także inne – coraz liczniejsze – tego rodzaju działania.

Dzisiejsze miasto Chorzów wywodzi swój rodowód od wsi Chorzów (obecnie dzielnica Chorzów Stary), należącej do zakonu bożogrobców, co potwierdził Władysław książę opolski w dokumencie wydanym 24 czerwca 1257 roku. Śladem po bożogrobcach jest herb miasta z widniejącym w nim podwójnym krzyżem (jego połową, drugą część tarczy zajmuje orzeł piastowski). Podobnie jak w innych miastach górnośląskich przełomem stała się industrializacja zapoczątkowana tu w 1780 roku odkryciem złóż węgla kamiennego i założeniem pierwszej kopalni Księżna Jadwiga, a później huty cynku Pokój. W 1810 roku król pruski Fryderyk Wilhelm III dokonał sekularyzacji zakonu i państwowienia jego dóbr, co przyspieszyło intensywną działalność inwestycyjną państwa na tym terenie. Już w 1791 roku hrabia Fryderyk Reden zapoczątkował działalność kopalni Król, a następnie w 1802 roku huty Królewskiej (później Kościuszko). Obok nich powstała szybko rozwijająca się osada, która w 1868 roku uzyskała prawa miejskie jako Koenigshuette (potem Królewska Huta).

Drugą ważną osadą przemysłową na terenie obecnego Chorzowa były Hajduki Wielkie. Tu w 1873 roku uruchomiono hutę

<sup>4</sup> *Niezwykła więź Kresów Wschodnich i Zachodnich. Wpływ lwowian na rozwój nauki i kultury na Górnym Śląsku po 1945 roku*, pod redakcją Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz, Alicji Ratusznej i Ewy Żurawskiej, Katowice 2012

<sup>5</sup> Przykładem tych działań jest wydanie wspomnień wybitnego laryngologa lwowskiego, osiadłego na Śląsku, prof. Tadeusza Ceypka: *Lwów w czasach trudnych. Notatki naocznego świadka*, Kraków–Katowice 2011

<sup>6</sup> *Profesorowie lwowscy na Politechnice Śląskiej*, pod red. Damiana Reclawa i Wiesława J. Bąby, Gliwice 2015

Bismarcka (obecnie huta Batory – stąd nazywa dzielnicy Chorzów-Batory).

Współczesne miasto Chorzów swój kształt terytorialny przybrało w latach 30., znajdując się już w granicach II RP. Najpierw miasto Królewska Huta połączono z Chorzowem (1934), a w 1939 z Hajdukami; całości nadano polską nazwę Chorzów. Było to miasto typowo przemysłowe, a największą rolę w nim spełniały obie wspomniane huty; należy dodać do tego zakłady azotowe na terenie dzielnicy Chorzów Stary, powstałe w 1916 roku dla produkcji materiałów wybuchowych dla armii niemieckiej, a także elektrownię, uruchomioną w 1898 roku. Zaopatrywała ona w energię elektryczną nie tylko miejscowy przemysł i ludność, ale też znaczną część Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego.

Po II wojnie światowej Chorzów, podobnie jak pobliskie miasta Świętochłowice i Ruda Śląska, pozostał miastem typowo przemysłowym, o robotniczym charakterze. Ludność miasta, licząca w 1939 roku około 130 tysięcy mieszkańców, po wojnie zmalała wskutek wysiedlenia uznanych za Niemców jego mieszkańców i liczyła około 100 tys. osób, by wzrosnąć w 1977 roku do 156 tysięcy. Obecnie Chorzów liczy około 110 tysięcy mieszkańców, co przy stosunkowo niewielkim obszarze daje i tak znaczną gęstość zaludnienia. Zatrudnieni oni byli i częściowo jeszcze są we wcześniej istniejących zakładach przemysłowych, z których najbardziej rozwinął się założony jeszcze w XIX wieku jako część huty Królewskiej Konstal – znany powszechnie jako producent wagonów tramwajowych, a obecnie pod nazwą Alstom Konstal – także metra. Chorzów był powszechnie znany także z klubu sportowego założonego w 1920 roku jako Ruch Wielkie Hajduki, 14-krotnego mistrza Polski w piłce nożnej. Na granicy Katowic i Chorzowa (jednakże w granicach Chorzowa) w latach 50. zapoczątkowano z inicjatywy wojewody śląskiego generała Jerzego Ziętka budowę ogromnego kompleksu sportowo-rekreacyjnego pod nazwą Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku (WPKiW, obecnie Park Śląski), tłumnie odwiedzanego nie tylko przez mieszkańców Śląska<sup>7</sup>.

W XIX wieku i na początku XX Chorzów miał charakter polsko-niemiecki, przy czym tutejsze warstwy ludowe (robotnicze) wywodziły się w głównej mierze z rodzimej ludności posługującej się gwara śląską, administracja i szeroko rozumiana inteligencja oraz mieszczaństwo zaś to Niemcy, zasymilowani Żydzi oraz niemieckojęzyczni Ślązacy. Polskojęzyczni przybysze należący do tych kategorii rekrutowali się przede wszystkim z leżącej w Cesarstwie Niemieckim Wielkopolski. Sytuacja zmieniła się, kiedy w 1922 roku (przyszły) Chorzów znalazł się w granicach Polski. Podobnie jak na innych terenach obszaru plebiscytowego podzielonego między oba państwa doszło do wymiany ludności, zgodnej z jej opcją narodowościową. Tak np. część mieszkańców Królewskiej Huty przeniosła się kilka kilometrów dalej, do niemieckiego Bytomia, gdzie powstało dla nich osiedle mieszkaniowe z kościołem pod tym samym wezwaniem, jak poprzednio przez nich uczęszczany – świętej Barbary. Do miast polskiej części Górnego Śląska – obok uchodźców z Niemiec – zaczęli napływać z kolei przybysze z głębi kraju, głównie ludzie wykształceni, potrzebni w różnych dziedzinach życia regionu dla zastąpienia niemieckojęzycznych jego mieszkańców. Część z nich już wcześniej dała się poznać Ślązakom, uczestnicząc w kampanii plebiscytowej i powstaniach, jak najbardziej znany z tej grupy Michał Grażyński, w czasach rządów sanacji wojewoda śląski. Pochodził on z okolic Krakowa i z tym miastem był wcześniej związany naukowo, ale wielu przybyszy pochodziło z Kresów. Przez pojęcie to rozumiem nie tylko wschodnie tereny II RP, ale i ziemie dalej na wschód położone (tereny należące do Rosji, potem ZSRR, a nawet Rumunii – Bukowina). Osoby te często pobierały nauki na uczelniach lwowskich (Uniwersytet lub Politechnika Lwowska) oraz zaczynały na Kresach swoją karierę zawodową, co dawało im przed przybyciem na Górny Śląsk pewne podstawy do zajęcia tu odpowiednich stanowisk pracy.

Jak zaznaczyłem na wstępie, analizę zjawiska obecności kresowian w życiu Chorzow-

---

cach naukowych. Obecnie Muzeum w Chorzowie rozpoczęło wydawanie monumentalnego dzieła w pięciu tomach, którego pierwszy tom, poświęcony środowisku geograficznemu miasta, ukazał się w tym roku (red. naukowa A. Hibszer i J. Runge).

<sup>7</sup> Historia Chorzowa jest stosunkowo dobrze przedstawiona w wielu monografiach i pra-

wa zamierzam oprzeć na *Chorzowskim słowniku biograficznym*. W jego 2 tomie zawarto 422 sylwetki zasłużonych chorzowian, z czego 39 (9,24%) zakwalifikowałem jako kresowian. Można wyciągnąć wniosek, że prawie co dziesiąty zasłużony dla międzywojennego Chorzowa jego mieszkaniec był kresowianinem – wydaje się to liczba bardzo duża. Przeanalizujemy więc, z czego ona wynika.

41 (dwóch omówiono w tomie 3) zasłużonych dla Chorzowa czasów II RP kresowian podzieliłem na następujące grupy (według rodzaju działalności zawodowej, z której są najbardziej znani):

- inżynierowie, zatrudnieni w przemyśle – 18
- nauczyciele – 10
- prawnicy, urzędnicy – 5
- artyści – 3
- oficerowie zawodowi – 2
- kupcy – 1
- sportowcy – 1
- uczniowie, studenci – 1 (jest to jednocześnie jedyna kobieta, Irena Salamonówna, harcerka, uczestniczka obrony miasta w 1939 roku).

Razem 41.

Podobnie jak kresowość wyżej wymienionych, tak też ich przynależność do poszczególnych grup, wobec braku jednoznacznych i niepodważalnych kryteriów, została przede mnie ustalona na podstawie analizy ich biografii zamieszczonych w *Słowniku*.

Zaczynając od najliczniejszej grupy, a więc inżynierów związanych z chorzowskim przemysłem, należy zauważyć, że byli to wysoko kwalifikowani specjaliści, bo tylko tacy mogli zastąpić na kierowniczych stanowiskach inżynierów niemieckich. Aż pięciu takich specjalistów zatrudnionych było w zakładach azotowych w Chorzowie Starym, które ze względu na znaczenie dla obronności państwa zostały szybko znacjonalizowane i funkcjonowały jako Państwowa Fabryka Związków Azotowych, od 1933 roku w fuzji z Fabryką Związków Azotowych w Mościcach koło Tarnowa. W 1922 roku został tam zatrudniony Adam Podoski, absolwent gimnazjum oo. jezuitów w Tarnopolu, który tytuł inżyniera uzyskał na Politechnice Paryskiej. Po rewolucji październikowej utracił własne cukrownie na Ukrainie i przeniósł się do Polski. Stopniowo awansując został dyrektorem PFZA, którą kierował z dużym

sukcesem, ale po fuzji stracił stanowisko na rzecz Eugeniusza Kwiatkowskiego, dyrektora zakładów w Mościcach, który został dyrektorem zjednoczonego przedsiębiorstwa.

Podoski jako doświadczony menedżer zajął się rozwojem przemysłu soli potasowych w rejonie Lwowa; tam też zmarł w roku 1938 i został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim.<sup>8</sup>

W PFZA przez wiele lat (także po II wojnie światowej, kiedy to został dyrektorem naczelnym) pracował Włodzimierz Bobrownicki, urodzony we Lwowie, który tytuł inżyniera uzyskał na Politechnice Monachijskiej. W latach 1928–1929 zbudował w Chorzowie pierwszą w Polsce instalację do syntezy amoniaku, a pod koniec lat 30. – do otrzymywania kwasu azotowego pod ciśnieniem. Brał m.in. udział w I Kongresie Inżynierów we Lwowie w 1937 roku.<sup>9</sup>

W 1927 roku pracę w PFZA podjął lwowianin, absolwent Wydziału Mechanicznego Politechniki Lwowskiej, Jan Dyduszyński. Pełniąc do 1939 roku funkcje kierownicze, przyczynił się w dużym stopniu do rozwoju zakładów przez projektowanie i budowę nowych linii produkcyjnych<sup>10</sup>.

Wybitnym specjalistą – chemikiem i konstruktorem był Tadeusz Hobler, urodzony w Samborze, także absolwent Politechniki Lwowskiej. Kierował biurem konstrukcyjnym chorzowskich zakładów, doprowadzając do ich pełnego uruchomienia mimo braku wywiezionej przez Niemców dokumentacji technicznej; projektował następnie kolejne zakłady – w Mościcach, a potem pracował we Francji i Szwajcarii. Po wojnie, jak wielu innych lwowskich profesorów, wykładał na Politechnice Śląskiej w Gliwicach, gdzie zmarł w roku 1975<sup>11</sup>.

Piątym znakomitym specjalistą zatrudnionym w PFZA od 1925 do wybuchu wojny był kolejny lwowianin, Roman Sobek, który rozpoczęte w Monachium studia ukończył na Politechnice Lwowskiej w 1924 roku. Kierował on działem elektrycznym, niezwykle

<sup>8</sup> Biogram autorstwa Stanisława Tadeusza Sroki, *ChSB*, t. 2, s. 336–337

<sup>9</sup> Biogram autorstwa Lecha Krzyżanowskiego, tamże, s. 23–24.

<sup>10</sup> Biogram autorstwa Józefa Piłatowicza, tamże, s. 83–84

<sup>11</sup> Biogram autorstwa Zbigniewa Białkiewicza, tamże, s. 134–137

istotnym ze względu na duże zużycie energii przy produkcji. Był też aktywny społecznie, m.in. w Polskim Związku Zachodnim na terenie Chorzowa. Po wojnie prześladowany przez władze komunistyczne, co zrujnowało mu zdrowie i przyczyniło się do przedwczesnej śmierci w 1956 roku<sup>12</sup>.

Jak widać, inżynierowie lwowianie i kresowianie walnie przyczynili się do uruchomienia i rozwoju zakładów o skomplikowanej technologii i dużym znaczeniu strategicznym dla państwa; udowodnili także, że polska myśl techniczna nie ustępuje niemieckiej. Podobną rolę odgrywali oni także w innych dziedzinach przemysłu. I tak:

- Jerzy Badian, lwowianin, był głównym technologiem w hucie Królewskiej, specjalizującym się w konstrukcjach stalowych; w uznaniu wybitnych osiągnięć w 1937 r. został dyrektorem Stoczni Gdynia<sup>13</sup>.
- Inżynierem o dużym doświadczeniu zdobytym m.in. w Donbasie i hutach syberyjskich był Zygmunt Krotkiewski, który zasłynął jako budowniczy największego w Polsce pieca A w (późniejszej) hucie Kościuszko (1937), a następnie aż do wybuchu wojny był szefem wydziału wielkich pieców w tej hucie<sup>14</sup>.

Dyrektorem gazowni miejskiej w Królewskiej Hucie był absolwent Politechniki Lwowskiej inżynier Bolesław Dalbor, obrońca Lwowa w 1918 roku. Podpułkownik rezerwy WP, bardzo aktywny społecznie w wielu organizacjach o zasięgu lokalnym i ogólnopolskim<sup>15</sup>.

Lwowscy i kresowi inżynierowie pełnili także ważne funkcje w organizacjach gospodarczych, którym podlegały chorzowskie zakłady, jak Skarboferm (kopalnia Król) – Aleksander Ciszewski, Józef Knothe, Zygmunt Korsak, a także Roman Rieger, w latach 1923–1930 dyrektor tej kopalni; Ślązel (elektrownia Chorzów) – Roman Podoski (brat Adama). W spółkach hutniczych funkcje kierownicze sprawował Władysław Kuczewski urodzony na Białorusi, a mieszkający

w Chorzowie; po wojnie organizator i pierwszy rektor Politechniki Śląskiej w Gliwicach<sup>16</sup>.

Dwie inne grupy zawodowe, w których polscy specjaliści musieli zastąpić niemieckich, to urzędnicy (w tym sędziowie) i nauczyciele. Funkcje urzędnicze wyższego szczebla łączyły się z reguły z wykształceniem prawniczym; takie zdobył wraz ze stopniem naukowym doktora na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie Antoni Gunia, w latach 1924–1939 dyrektor bardzo ważnej dla województwa śląskiego, a usytuowanej w Chorzowie instytucji, mianowicie Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. M.in. jego staraniem wybudowano przy ul. Dąbrowskiego nowoczesny gmach ZUS, który ta instytucja zajmuje do dnia dzisiejszego<sup>17</sup>. Podobne wykształcenie zdobył Michał Zajac, który rozpoczął pracę w instytucjach ubezpieczeniowych we Lwowie, a w latach 1930–1934 był wicedyrektorem ZUS w Chorzowie. Jako wybitny specjalista w swej dziedzinie awansował następnie do centrali ZUS w Warszawie. Po wojnie powrócił na Śląsk i tu do śmierci w 1958 roku był dyrektorem Oddziału Wojewódzkiego ZUS w Chorzowie<sup>18</sup>.

Dwóch kresowych prawników pełniło w Chorzowie funkcje sędziowskie. Byli to Henryk Damm, od 1922 naczelnik miejscowego sądu, a od 1926 roku notariusz i adwokat<sup>19</sup>, a także Artur Kleski z Czerniowiec na Bukowinie, sędzia w Królewskiej Hucie (potem Chorzowie), na różnych stanowiskach w latach 1922–1939<sup>20</sup>.

Stosunkowo licznie reprezentowana była grupa nauczycieli o proweniencji kresowej. Wysokiej klasy specjalistą w dziedzinie szkolnictwa handlowego był Ferdynand Boniakowski, który studia w tej dziedzinie ukończył w Antwerpii. Od 1929 roku mieszkał w Chorzowie, gdzie podjął pracę w Miejskim Instytucie Kształcenia Handlowego. Przebywał także w Anglii; specjalizował się w korespondencji handlowej w języku angielskim,

<sup>12</sup> Biogram autorstwa Zbigniewa Białkiewiczza, tamże, s. 403–406

<sup>13</sup> Biogram autorstwa Władysława Wilgusiewiczza, tamże, s. 3–4

<sup>14</sup> Biogram autorstwa Zbigniewa Białkiewiczza, tamże, s. 210–212

<sup>15</sup> Biogram autorstwa Przemysława Nadolskiego, tamże, s. 72–73

<sup>16</sup> Biogram autorstwa Jacka Schmidta, tamże, s. 221–223

<sup>17</sup> Biogram autorstwa Sylwestra Fertacza, tamże, s. 123–125

<sup>18</sup> Biogram autorstwa Sylwestra Fertacza, tamże, s. 502–503

<sup>19</sup> Biogram autorstwa Zbigniewa Kapały, tamże, s. 73

<sup>20</sup> Biogram autorstwa Lecha Krzyżanowskiego, tamże, 180–181

był tłumaczem przysięgłym przy chorzowskim sądzie. Po wojnie nadal był nauczycielem w chorzowskiej szkole handlowej, a także lektorem języka angielskiego w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Katowicach<sup>21</sup>.

Nauczycielem przedmiotów zawodowych w zakresie handlu był także absolwent Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego we Lwowie Tadeusz Malis. Był bardzo aktywny społecznie m.in. w ruchu zawodowym nauczycieli, a także w Lidze Morskiej i Kolonialnej<sup>22</sup>.

Wybitnym geografem był lwowianin Jan Moniak, asystent słynnego profesora Eugeniusza Romera na UJK we Lwowie. Po uzyskaniu doktoratu zatrudnił się w Państwowym Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczym im. św. Stanisława Kostki w Królewskiej Hucie. Podczas swej pracy nauczycielskiej prowadził badania nad klimatem Śląska, publikował artykuły, wygłaszał odczyty. W 1938 roku wyjechał na studia do Francji; po wojnie był profesorem w WSE w Sopocie<sup>23</sup>.

W tym samym gimnazjum nauczycielem wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego w latach 1927–1935 był Józef Hajkowski, uczestnik m.in. wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku. Jako znany działacz sportowy był m.in. delegatem wojewody śląskiego na Igrzyska Olimpijskie w Amsterdamie w 1928 roku. W 1938 roku zginął tragicznie podczas zajęć PW w Cieszynie<sup>24</sup>.

Spośród nauczycieli szkół powszechnych należy wymienić zmarłego młodo w 1937 roku Bolesława Kuluszkę, Obrońcę Lwowa, dwukrotnego kawalera Krzyża Walecznych. Był nauczycielem Szkoły Powszechnej nr VII w Chorzowie, udzielał się jako działacz Związku Inwalidów Wojennych RP i redaktor „Inwalidy Śląskiego”<sup>25</sup>.

Do grupy nauczycieli zaliczyłem także dwóch rabinów przybyłych z Kresów, nauczycieli religii mojżeszowej. Byli to: Teodor Kohlberg z Kałusza, od 1927 roku rabin w Królewskiej Hucie, a także nauczyciel religii miej-

scowej młodzieży szkolnej, działacz sportowy, zwolennik syjonizmu. Po 1 IX 1939 r. udał się do Lwowa, gdzie zginął jako ofiara holokaustu<sup>26</sup>. Drugim był Jecheskel Lewin, pełniący funkcje duchownego i nauczyciela szkoły żydowskiej w latach 1926–1928. Mimo krótkiego pobytu na Śląsku cieszył się dużym poważaniem miejscowej społeczności żydowskiej<sup>27</sup>.

Reprezentantami państwa polskiego na terenie Chorzowa byli też oficerowie tutejszego 75 pułku piechoty, wśród których na upamiętnienie zasłużyło dwóch kresowian. Władysław Marmurowicz był oficerem armii austriackiej, a następnie Armii Hallera. Po wojnie został oficerem zawodowym; w Królewskiej Hucie służył w latach 1922–1928, dając się poznać jako niezwykle uzdolniony oficer i dowódca. Sprawował też funkcję sekretarza Miejskiego Komitetu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. Służył potem w Bielsku Białej; w czasie wojny na stanowiskach dowódczych w AK, zamordowany przez hitlerowców w Poznaniu w 1944 roku<sup>28</sup>.

Reprezentantem najmłodszego pokolenia oficerów II RP był wyróżniający się absolwent legendarnego Korpusu Kadetów im. Józefa Piłsudskiego we Lwowie, Władysław Stempurski. Przydzielony do 75 pp, 1 września 1939 roku zginął w walce z bandą niemieckich dywersantów okupującą kopalnię Michał w Michałkowicach (dziś Siemianowice Śl.)<sup>29</sup>.

Spośród artystów pochodzenia kresowego przez dłuższy czas związany z miastem był Adam Harasowski. Był absolwentem Politechniki Lwowskiej, ale jego pasją pozostała muzyka. Po zdobyciu doświadczenia w dyrygowaniu chórami lwowskimi, od 1933 roku przebywał na Śląsku. Udzielał się tu na polu muzyki w różny sposób, m.in. jako dyrygent i kierownik artystyczny orkiestry huty Kościuszko (w tym czasie nosiła nazwę Piłsudski). Po 1939 roku przebywał w Wielkiej Brytanii<sup>30</sup>.

<sup>21</sup> Biogram autorstwa Janiny Parysz, tamże, s. 28–29

<sup>22</sup> Biogram autorstwa Janiny Parysz, tamże, s. 249–250

<sup>23</sup> Biogram autorstwa Janiny Parysz, tamże, s. 284–285

<sup>24</sup> Biogram autorstwa Antoniego Steuera, tamże, s. 129–130

<sup>25</sup> Biogram autorstwa Janiny Parysz, tamże, s. 191

<sup>26</sup> Biogram autorstwa Romana Hermanna, tamże, s. 190–191

<sup>27</sup> Biogram autorstwa Roberta Brzostowskiego, tamże, s. 232–233

<sup>28</sup> Biogram autorstwa Mieczysława Starczewskiego, tamże, s. 253–255

<sup>29</sup> Biogram autorstwa Zdzisława Janeczka, tamże, s. 424–425

<sup>30</sup> Biogram autorstwa Zbigniewa Kapały, tamże, s. 131

Jak widać z tego przeglądu, napływający do Chorzowa kresowianie zajmowali stanowiska pracy niezbędne dla funkcjonowania przede wszystkim przemysłu i szkolnictwa w mieście. Trudno tu mówić o konkurencji wobec ludności miejscowej, być może z wyjątkiem stanowisk typowo urzędniczych i to niższego szczebla, jak to miało miejsce w ZUS. Jak podaje autor biogramu, wobec dyrektora Antoniego Guni wysuwano oskarżenia o preferowanie Małopolan w polityce zatrudnienia, jak jednak można sądzić – o ile w ogóle były one uzasadnione – to dotyczyły urzędników z Małopolski Zachodniej, liczniej tu przybywających w poszukiwaniu zatrudnienia od kresowian. Nie wydaje się też, aby konkurencja, a przynajmniej nie wobec polsko nastawionych Ślązaków, miała miejsce w handlu czy rzemiośle. Reprezentantem tego środowiska był pochodzący z Pińska Bolesław Borzym, oficer II Korpusu Polskiego, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej oraz III powstania śląskiego. Skierowany do 75 pułku piechoty, z którym wkroczył do przynajmniej Polsce Królewskiej Huty. Niedługo potem przeszedł do rezerwy i zajął się kupiectwem, będąc przedstawicielem znanej firmy cukierniczej Piasecki (dziś Wawel) – notabene założyciel firmy Adam Piasecki wydatnie wspierał finansowo polską akcję plebiscytową na Śląsku. Borzym działał aktywnie w Stowarzyszeniu Kupców Polskich w Chorzowie; jako oficer rezerwy powołany do wojska zginął w kampanii wrześniowej i został pochowany w Zamościu<sup>31</sup>.

Losy związanych z Chorzowem kresowian ułożyły się różnie, jak widać z omówionych biogramów. Niektórzy z nich wrócili tu po wojnie, jak dyrektor ZUS Michał Zajac, ale pojawili się także nowi. Był to już jednak wynik zupełnie innej sytuacji politycznej – odgórnego przymusu, a nie poszukiwania nowych, lepszych warunków do życia i pracy, przymusu wywołanego decyzją jałtańską o wypędzeniu Polaków z Kresów Wschodnich po 600-letnim tam pobycie.

Ekspatrianci z Kresów, przede wszystkim Południowo-Wschodnich, kierujący się na Górny Śląsk osiedli głównie w miastach dawnej niemieckiej jego części – Bytom, Gliwice, Zabrze. W grudniu 1947 roku od-

notowano tam odpowiednio 36 637, 38 298 i 19 826 nowych mieszkańców wywodzących się z Kresów Wschodnich (dla porównania z Polski centralnej przesiedliło się tam 27 160, 25 555 oraz 5 351 osób)<sup>32</sup>. Nawet w polskich przed wojną Katowicach zamieszkało wielu lwowian i kresowian – choć część z nich po pewnym czasie przesiedliła się gdzie indziej (jak Bronisław Dąbrowski, dyrektor Teatru Śląskiego, opartego na artystach i pracownikach przybyłych ze Lwowa).

Nie dysponuję danymi dotyczącymi tego zagadnienia odnośnie do Chorzowa, niemniej nie ulega wątpliwości, że były to ilości śladowe. Pośrednim dowodem na to jest fakt, że gdy na przełomie 1988 i 1989 roku zaczęły powstawać Oddziały Towarzystwa Miłośników Lwowa, liczni kresowianie pojawili się na zebraniach założycielskich w wymienionych miastach i rozpoczęli działalność, podczas gdy zainteresowani chorzowianie dołączyli do oddziałów bytomskiego i katowickiego. Wydaje się, że grupa ludności napływowej do Chorzowa rekrutowała się raczej z mieszkańców Zagłębia i pojawiła się bezpośrednio po zakończeniu na tym terenie działań wojennych, podczas gdy pierwsze znaczące transporty ze Wschodu przybyły później, wiosną i latem 1945<sup>33</sup>. Niemniej jednak i na terenie Chorzowa mamy do czynienia ze znaczącym udziałem kresowian w życiu miasta, podobnie jak to było przed wojną – przede wszystkim w przemyśle i oświacie. Tom 3 *Chorzowski słownika biograficznego*<sup>34</sup> zawiera znacznie mniej biogramów niż tom 2, bo tylko 213, stąd też i kresowian jest tu dużo mniej, bo 25, procentowo udział ich jest jednak bardzo zbliżony i wynosi 11,7% (w latach międzywojennych 9,25%).

W rozbiciu na rodzaje aktywności wygląda on następująco:

<sup>32</sup> Wg: Alicja Badetko. *Śląski Lwów, a może lwowski Śląsk, czyli wpływ kresowian (głównie lwowian) na rozwój społeczny i kulturalny Górnego Śląska w okresie od 1945 do 1956 roku* [w:] *Dziedzictwo Kresów. Przeszłość i teraźniejszość*, Kraków 2013, s. 144

<sup>33</sup> Problemy związane z przybyciem kresowian opisuje m.in. Zygmunt Woźniczka. *Represje na Górnym Śląsku*, Katowice 2010, s. 309–314

<sup>34</sup> *Chorzowski słownik biograficzny*. Edycja nowa, tom 3 pod red. Zbigniewa Kapały. Chorzów 2011

<sup>31</sup> Biogram autorstwa Zbigniewa Kapały, tamże, s. 29–30



- inżynierowie, zatrudnieni w przemyśle – 10
- nauczyciele – 5
- artyści – 4
- oficerowie WP – 3
- urzędnik – 1
- lekarz – 1
- sportowiec – 1.

Razem 25

W grupie inżynierów najbardziej znaczącą postacią był Bohdan Kołomyjski. Urodzony w Brześciu Litewskim, w wieku 16 lat brał udział jako ochotnik w wojnie z bolszewikami, a następnie w wyprawie Żeligowskiego na Wilno. Studia ukończył na krakowskiej AGH i podjął pracę w różnego rodzaju zakładach hutniczych i zbrojeniowych, także po wojnie. Z Chorzowem był związany w latach 1953–1956 jako główny inżynier huty Kościuszko, później był dyrektorem huty Baildon. Najbardziej znany był jednak jako długoletni dyrektor naczelny Kombinatu Huta im. Lenina w Krakowie – Nowej Hucie. Tam też zmarł w sędziwym wieku 97 lat i został pochowany na cmentarzu Rakowickim<sup>35</sup>.

Z hutnictwem chorzowskim związany był wybitny specjalista w tej dziedzinie, urodzony w Stanisławowie Adolf Nowotny. Absolwent AGH, w 1946 roku zamieszkał już do końca życia w Chorzowie, gdzie sprawował funkcje kierownicze w hucie Batory. Wysoko ceniony za twórcze podejście do pracy, autor 27 projektów wynalazczych i kilku patentów<sup>36</sup>.

Podobnie Eugeniusz Horoszko, lwowianin, absolwent Politechniki Lwowskiej, już przed wojną podjął pracę w hutnictwie górnośląskim. Po latach okupacji spędzonych we Lwowie powrócił na Śląsk i tu zaczął pracę w chorzowskich hutach. Jest uznawany za jednego z twórców elektrotermii przemysłowej w Polsce; jako autorytet w tej dziedzinie przeniół się do pracy naukowej w AGH, gdzie odniósł szereg sukcesów, skutecznie wiążąc teorię z praktyką<sup>37</sup>.

Kilku inżynierów było przez dłuższy czy krótszy czas związanych z chorzowskim górnictwem, jak Janusz Tuleja, urodzony w Sądowej Wiszni niedaleko Lwowa, ab-

solwent AGH. Od 1945 roku do przejścia na emeryturę w 1971 roku pracował na różnych stanowiskach w dozorze kopalń węgla – chorzowskich i bytomskich<sup>38</sup>.

Dwaj kresowianie zorganizowali w Chorzowie od podstaw Przedsiębiorstwo Energomontażowe Przemysłu Węglowego, zatrudniające w momencie szczytowego rozwoju 3500 pracowników. Dyrektorem naczelnym był Bronisław Kryszczukajtis, absolwent Politechniki Lwowskiej (dyplom inżyniera mechanika uzyskał w grudniu 1945 r. już na Politechnice Śląskiej). Prócz kierowania działalnością montażową PEPW na rzecz nie tylko górnictwa, ale energetyki i hutnictwa (także za granicą) zajmował się działalnością dydaktyczną i naukową – po przejściu na emeryturę w katowickim GIG<sup>39</sup>. Funkcję naczelnego inżyniera w PEPW sprawował jego kolega ze studiów we Lwowie, urodzony na Wołyniu Romuald Wrześniowski. Prowadził także pracę naukowo-dydaktyczną na Politechnice Częstochowskiej. Mieszkał w Chorzowie, gdzie zmarł w 1981 roku<sup>40</sup>.

Przedwczesna śmierć w wieku 47 lat przerwała karierę zawodową Zbigniewa Braszki, który przybył wraz z rodziną z Kresów do Zabrze i ukończył Wydział Elektryczny Politechniki Śląskiej. Po latach wyróżniającej się pracy w elektrowni Zabrze awansował na dyrektora elektrowni Chorzów (lata 1969–1972), gdzie rozpoczął prace nad jej przekształceniem w elektrociepłownię. Dziś jest ona dostawcą ciepła do mieszkań w Chorzowie i dużej części Katowic<sup>41</sup>.

W grupie nauczycieli pochodzenia kresowego znalazł się Józef Sałabun, urodzony w powiecie Dobromil. Został magistrem fizyki na UJK we Lwowie, pracował jako nauczyciel fizyki w gimnazjach w Jarosławiu i Stanisławowie. Po wojnie przybył do Bytomia i tu został nauczycielem, a w latach 1956–1973, aż do śmierci, był dyrektorem Planetarium i Obserwatorium Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika w Chorzowie. Zainicjował m.in. coroczną Olimpiadę Astronomiczną

<sup>35</sup> Biogram autorstwa Joanny Januszewskiej-Jurkiewicz, tamże, s. 109–113

<sup>36</sup> Biogram autorstwa Brunona Widucha, tamże, s. 173–174

<sup>37</sup> Biogram autorstwa Danuty Merskiej, tamże, s. 79–81

<sup>38</sup> Biogram autorstwa Macieja Fica, tamże, s. 246–247

<sup>39</sup> Biogram autorstwa Władysława Wilgusiewicza, tamże, s. 119–120

<sup>40</sup> Biogram autorstwa Władysława Wilgusiewicza, tamże, s. 267–268

<sup>41</sup> Biogram autorstwa Władysława Wilgusiewicza, tamże, s. 9–10

dla młodzieży szkół średnich, utrzymywał liczne kontakty z wybitnymi astronomami w kraju i za granicą; był także pracownikiem naukowym katowickiej WSP (później UŚI)<sup>42</sup>.

Dwoje kresowian było dyrektorami chorzowskich szkół średnich – Joanna Furmanowa ze Złoczowa zorganizowała i kierowała II LO im. Juliusza Ligonia, Zygmunt Stebelski z Bukowiny rumuńskiej był zaś przez 14 lat dyrektorem III LO im. Stefana Batorego. Z kolei Kamila Niepokojczycka wraz z rodziną przybyła w 1924 roku z Rosji do Królewskiej Huty. Jej ojciec był tu farmaceutą, Kamila po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Warszawskim podjęła pracę nauczycielską w Kowlu, a od 1936 roku w Chorzowie. W czasie wojny była więźniarką obozu koncentracyjnego, po wyzwoleniu zaś została nauczycielką języka polskiego w Liceum Pedagogicznym w Chorzowie. Po przejściu na emeryturę nadal tu mieszkała i zmarła w 1984 roku<sup>43</sup>.

Osobą, którą można zaliczyć zarówno do kategorii artystów, jak też nauczycieli był Aleksander Gabrylewicz, urodzony w Winnicy na Ukrainie. Już przed wojną rozpoczął studia w zakresie gry na skrzypcach w Katowicach, które ukończył w 1952 roku. Był w latach 1947–1987 skrzypkiem WOSPRiT (obecnie NOSPR), mieszkał w Chorzowie. Tutaj też prowadził pracę pedagogiczną aż do śmierci w 1998 roku jako nauczyciel Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Grzegorza Fitelberga. Wysoko ceniony, wielokrotnie nagradzany za pracę artystyczną i dydaktyczną<sup>44</sup>.

W pamięci chorzowian zapisał się zasłużony lekarz, doktor Kazimierz Fritz, syn przedsiębiorcy naftowego z Drohobycza. Był legionistą, potem ukończył studia medyczne na UJK we Lwowie ze specjalnością dermatologiczną i odbywał służbę jako lekarz wojskowy. Od 14 marca 1945 roku pracował w Chorzowie już jako lekarz cywilnej służby zdrowia; miał duże zasługi w zwalczaniu plagi lat powojennych – chorób wenerycznych. Do przejścia na emeryturę kierował Oddziałem Dermatologicznym Szpitala Miejskiego

w Chorzowie; potem mieszkał w Warszawie, gdzie zainicjował budowę Domu Lekarza Seniora<sup>45</sup>.

Warto wreszcie zwrócić uwagę na chorzowskiego sportowca, kresowianina ze Zdołbunowa Mieczysława Wilczewskiego. Mieszkał wprawdzie w Bytomiu, ale reprezentował chorzowski Ruch i był trenowany przez znanego chorzowskiego trenera Roberta Nowoczek. Kariera Wilczewskiego przypadła na lata niezwyklej popularności kolarstwa w Polsce, związanej z Wyścigiem Pokoju; jeździł wraz z tak znanymi zawodnikami jak Stanisław Królak, Henryk Hadasik, Grzegorz Chwiendacz. Wilczewski wygrał m.in. w 1953 roku Tour de Pologne, a w 1960 roku brał udział w wyścigu drużynowym Olimpiady w Rzymie. W latach 70. wyjechał do USA, gdzie zmarł w 1993 roku<sup>46</sup>.

W świetle powyższych faktów nasuwają się następujące wnioski:

- nie jest prawdą, że lwowianie i kresowianie przybyli na Górną Śląsk dopiero po II wojnie światowej i zamieszkali wyłącznie w Bytomiu, Gliwicach i Zabrze
- nie jest prawdą, że stanowili oni element pasożytniczy, dyskryminujący ludność miejscową i wypierający ją z mieszkań i stanowisk pracy
- nie jest prawdą, że byli to ludzie o niskim wykształceniu, niechętni do pracy i zajmujący się kombinatorstwem oraz szukaniem okazji do łatwego i szybkiego zarobku.

Oczywiście, że wśród masy przybywających na Górną Śląsk kresowian, zwłaszcza po II wojnie światowej, znalazły się jednostki naganne pod względem moralnym, a nawet przestępcy. Nie oni jednak stanowią o obrazie wkładu kresowian w życie regionu – zarówno przed, jak i po II wojnie światowej. Na zakończenie chciałbym wspomnieć, że do Gliwic przybył w 1945 roku lwowski batiar i notowany przez policję włamywacz, który wkrótce zginął pod kołami sowieckiej ciężarówki. Nazywał się Leopold Socha i jako odznaczony pośmiertnie tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata jest bohaterem filmu Agnieszki Holland *W ciemności*.

<sup>42</sup> Biogram autorstwa Grzegorza Mazura, tamże, s. 211–215

<sup>43</sup> Biogram autorstwa Janiny Parysz, tamże, s. 166–167

<sup>44</sup> Biogram autorstwa Henryka Orzyszka, tamże, s. 50–51

<sup>45</sup> Biogram autorstwa Krzysztofa Brożka, tamże, s. 42–44

<sup>46</sup> Biogram autorstwa Antoniego Steuera, tamże, s. 257–259

Anna Stengl

## Mannowie. Lwowiacy pamiętani czy nieco zapomniani?

*Uważam, że każda próba zwrócenia uwagi na pracę i osiągnięcia ludzi, których dostatecznie nie doceniono ani za życia, ani po śmierci warta jest podjęcia. Takich postaci jest w naszej dalszej i bliższej historii z pewnością wiele, ale jedna jest szczególnie żywa w mojej pamięci i bliska mojemu sercu. Dlatego właśnie postanowiłem opowiedzieć Państwu o moim ojcu.*

Te słowa można przeczytać w niedawno wydanej książce pt. *Artysta. Opowieść o moim ojcu*. Wewnątrz, na karcie tytułowej, widnieje tytuł *Kazimierz Mann. Artysta*. Autorem jest Wojciech Mann, dziennikarz radiowy i telewizyjny, satyryk.

Mannowie to rodzina, w której nastąpiło niezwykle nagromadzenie wybitnych osobowości, artystów malarzy, muzyków, naukowców. Kształcili się we Lwowie (tu przywędrowali w XVIII wieku z Nadrenii), także w Wiedniu, Krakowie, Warszawie, Düsseldorfie, Cambridge i Los Angeles. Nie sposób wymienić wszystkich osób z tej rodziny, które na trwałe zapisały się w szeroko pojętej dziedzinie kultury i sztuki. Zatem ograniczę się tylko do tych najbliższych Wojciechowi, a więc braci ojca, choć trudno pominąć urodzonego we Lwowie w 1883 roku Józefa Manna (brata dziadka Wilhelma), śpiewaka operowego, który pierwsze kroki stawił na deskach teatru

we Lwowie, a jego dynamicznie rozwijająca się kariera zawiodła go do teatrów wielu miast w Europie. Niestety żył krótko, bowiem 5 września 1921 roku, podczas pożegnalnego przedstawienia *Aidy* G. Verdiego w berlińskim teatrze, zmarł na atak serca. Został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.



Kazimierz Mann

Przed wojną we Lwowie mieszkało trzech braci Mannów: Tadeusz, Kazimierz i Roman...

**Tadeusz** – najstarszy stryj Wojciecha – urodził się 4 grudnia 1908 roku we Lwowie. Naukowiec. Lekarz i biochemik. Absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie z tytułem lekarza medycyny (1931), stypendysta Fundacji Rockefellera (Cambridge, 1935), doktor filozofii (Cambridge, 1937), doktor habilitowany z zakresu biochemii (Lwów, 1938). Profesor Wydziału Weterynarii na Uniwersytecie w Cambridge (1948–1976) ... można by tu jeszcze wiele zaszczytów i funkcji wymienić, jednak najważniejszą postacią w wydanej książce jest Kazimierz ... Tadeusz zmarł 27 listopada 1993 roku w Cambridge.

**Roman** – najmłodszy wśród braci ojca Wojciecha – urodził się 19 października 1911 roku, także we Lwowie. Absolwent Wydziału Architektury Politechniki Lwowskiej i Staatliche Kunstgewerbeschule (studia z architektury wnętrz i scenografii). Scenograf filmowy, architekt, malarz, rysownik, pedagog. Ma w swoim dorobku zarówno duże projekty architektoniczne, jak i wspaniałe projekty scenograficzne do wielu świetnych polskich filmów. Od 1951 do 1956 r. był profesorem Zakładu Architektury Wnętrz, w latach 1953–1955 – dziekanem Wydziału Architektury Wnętrz w Łodzi. Pracował jako scenograf w PP Film Polski (1947–1960), później w Zespółach Realizatorów Filmowych w Łodzi. Zmarł tragicznie 11 marca 1960 roku w Zakopanem.

**Kazimierz** – ojciec Wojciecha, brat Tadeusza i Romana. Urodził się 7 października 1910 roku we Lwowie. Był artystą i całym sercem lwowiakiem. Do końca życia, jak wielu lwowiaków, nie mógł pogodzić się z tym, że w dokumentach jego miejscem urodzenia był Lwów, ZSRR. Podobnie jak Roman ukończył studia na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej i w Staatliche Kunstgewerbeschule w Wiedniu z doskona-

łymi wynikami. Zajmował się malarstwem, grafiką użytkową i warsztatową, oprawą plastyczną wystaw.

Omawiana książka jest niezwykle opowieścią syna o niezwykłym ojcu, jego trudnych losach, jego pasjach, jego życiu, ale nade wszystko o jego twórczości. Ze wspomnień syna Kazimierz Mann jawi się jako człowiek bardzo zdolny, pełen fantazji, poszukujący, rodzinny, a w jego pracach uderza wolność i powiew radości (Anna Arno).

Bardzo trudno wyrazić klimat tej opowieści słowami, wspomnienia Wojciecha z rodzinnego domu, jego przeżywanie tego, co było w dzieciństwie i spojrzenie na tamten czas teraz po latach. *To, że ojciec maluje i rysuje, było dla mnie czymś tak naturalnym, że wręcz niezauważalnym. Nie oceniałem jego obrazków, były taką samą częścią mojej codzienności jak meble w mieszkaniu, firanki w oknach czy kolor ścian.* Z czasem Wojtek zaczął doceniać to, co robił ojciec, a po latach zainspirowało go to do szukania śladów jego twórczości i zebrania dzieł.

Kazimierz Mann w 1936 roku przeniósł się do Warszawy, tutaj miał większe możliwości tworzenia, zwłaszcza w ramach grafiki użytkowej. Do jego najśłynniejszych prac należały paneau, za jedno z nich w 1939 roku otrzymał złoty medal na światowej wystawie w Nowym Jorku. W 1951 roku został aresztowany za rzekomą współpracę z nazistami i początkowo był skazany na karę śmierci, zamienioną później na karę więzienia. Jako artysta nie marnował w więzieniu czasu, jedną z pamiątek jest ozdobiona jego odręcznym rysunkiem drewniana papierośnica.

Wobec takich kolei losu wspomnienie o ojcu, gdy Wojtek był małym chłopczykiem, jest odmienne od miłych opowieści, jakie zwykle przywołuje się z dzieciństwa. Miał trzy lata, gdy ojciec został aresztowany i **zniknął gwałtownie** z jego życia.

Pierwsze wspomnienie spotkania z ojcem pochodzi z więzienia i jest ono bardzo mroczne.

Ta opowieść syna o ojcu jest piękna, bowiem jest w niej dużo ciepła, podziwu, niekiedy jest zabawna, ale wspinał się to, że na ile to możliwe, odnajduje jego prace, a są to obrazy, plakaty o różnej tematyce, także filmowe, kartki pocztowe i wszystko to, co dotyczyło twórczości ojca, czyli m.in. tzw. grafiki użytkowej. Wojciech Mann bogactwo zbioru, prócz własnej aktywności w poszukiwaniach i także dzięki udostępnionym przez siostrę Martę dzieł ojca, zawdzięcza konsekwencji i wytrwałości swojego syna Marcina, który niestrudzenie tropił i nadal tropi ślady artystyczne dziadka. Źródła „odzyskiwania” dzieł Kazimierza Manna są różne: aukcje, prywatne kolekcje, ale też niejednokrotnie różne zaskakujące miejsca, bowiem Kazimierz Mann nie dbał o swoje prace i wiele z nich darował różnym ludziom, a najbardziej cenił te swoje prace, które powstały nie na zamówienie, ale dla jego własnej satysfakcji.

W twórczości Kazimierza Manna zadziwia jaskrawa kolorystyka i śmiałe zestawiania barw. Najprawdopodobniej tworzył tak na przekór dominującej szarzyźnie i brakowi fantazji w tamtych trudnych czasach. Interesujące jest to, że w wielu kolorowych grafikach dużą rolę odgrywają barwy wsi, co głównie można spostrzec w strojach ludowych, mieniących się niepowtarzalną feerią barw. Nawiasem mówiąc, jak wspomina Wojciech, ojciec gromadził albumy zawierające motywy ludowe poszczególnych regionów, studiował różne wiejskie obyczaje i obrzędy i wykorzystywał tę wiedzę projektując serie ozdobnych kartek pocztowych.

Jak na artystę przystało, Kazimierz Mann miał także inne pasje, interesował się muzyką (przedwojenny jazz), filmem, a przede wszystkim miał dar bujnej, nieskrępowanej wyobraźni. O tym świadczy jego twórczość, rozmach w dobieraniu barw i różnorodność jego dzieł.



A jaki był Artysta prywatnie, rodzinie, oso­biście? Wojciech Mann pamięta ojca jako człowieka bardzo towarzyskiego. Lubił gości, sam również lubił bywać. Kiedy dostał więk­sze pieniądze za jakieś zlecenie, wbrew pro­testom mamy, która uważała, że w domu jest mnóstwo pilnych wydatków, zapraszał cztero­osobową rodzinę (Wojciech Mann ma siostrę Martę) na obiad do dobrej restauracji – np. Bristolu. I to był prawdziwy oddech w codzien­nej siermiężnej rzeczywistości. Zatem, prócz sztuki użytkowej, miał też „fantazję użyt­kową”.

Na koniec Wojciech Mann pisze do ojca:

*Popatrz, Tato, napisałem o Tobie książkę. Nie ma wątpli­wości, że jej najważniejszą i najpiękniejszą częścią są Twoje rysunki i obrazy. Nie odzie­dziczyłem po Tobie talentu malarskiego, więc postarałem się narysować Cię słowem. Zebrałem różne moje wspomnienia, wraże­nia i nastroje z Tobą związane i tak powstał ten tekst. Tekst o tak bliskim mi człowieku, którego jednocześnie znałem i nie znałem. (...). Może nie dawałem Ci tego odczuć, ale to, że dorastałem (...), patrząc na Twoje ob­razki, było dla mnie bardzo ważne.*

*Dziękuję,  
Twój Wojtek*

Tak kończy się opowieść, piękna opo­wieść, choć wydawałoby się, że taka zwy­czajna. Może właśnie dlatego jest taka pię­na, prawdziwa...

Warto poznać losy Artysty widziane oczami i sercem syna!

**A może ktoś z Państwa jest posiada­czem dzieł Kazimierza Manna i zechce o tym napisać?**

Książka wydana przez Wydawnictwo Znak, zawie­ra 189 stron, 13 rozdziałów w spisie treści, bez ty­tułów, choć ma to sens – porządkuje wspomnienia.

**Na końcu dodano:**

Omówienie twórczości Artysty przez Annę Arno – *Kazimierz Mann – niepodległość wyobraźni*  
Specjalne podziękowania dla siostry Marty, która jest projektantką w Los Angeles, syna Marcina, żony Ewy

Noty biograficzne Kazimierza i Wojciecha Man­nów

Źródła ilustracji

Reprodukcje do publikacji wykonał Marcin Mann, wnuk Kazimierza

**Paweł Brzegowy**

## **Sprawozdanie z konferencji jubileuszowej „Lwów w historii i kulturze polskiej”, 19–20 X 2018 r.**

**W** związku z trzydziestą rocznicą zało­żenia Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej (TKPZL) – naj­większej rodzimej organizacji kulturalnej na Ukrainie, w dniach 19–20 X 2018 r. odbyła się we Lwowie konferencja jubileuszowa „Lwów w historii i kulturze polskiej”. Słowo wstępne wygłosił konsul generalny RP we Lwowie Rafał Wolski, a referat wprowadzają­cy *Szkice z trzydziestoletniej dziejów TKPZL* przedstawiła doc. dr n. med. Ewelina Hrycaj-Małańcz – pomysłodawczyni konferencji i przewodnicząca komitetu organizacyjnego. W sesji pierwszej z referatami wystąpili: dr hab. Zbigniew Romek, prof. Instytutu Historii PAN, z prelekcją *Lwów w historii polskiej*, prof. dr hab. Katarzyna Dormus opowia­dająca o Lwowie jako miejscu narodzin nowo­czesnej prasy kobiecej, prof. dr hab. Andrzej Zięba z wystąpieniem *Lwów międzywojen­ny – odrodzenie miasta niepodległego*, dr hab. Witold Wilczyński, prof. Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, który przed-



Powitanie referentów i uczestników konferencji przez prezesa TKPZL E. Legowicza i doc. dr n. med. E. Hrycaj-Małańcz



Uczestnicy konferencji w hotelu Lwów

stawił obraz Rusinów/Ukraińców w pracach Jana i Eugeniusza Romerów, oraz dr Stanisław Dziedzic z pasją kreślący losy Madonn lwowskich i ich powojennych peregrynacji. Podczas sesji drugiej, we wczesnych godzinach popołudniowych, zgromadzeni goście wysłuchali referatu dr Karoliny Grodzkiej o twórczości rzeźbiarskiej Janiny Reichert-Toth, wystąpienia dra Sławomira Dorockiego i Pawła Brzegowego o Zofii Batyckiej i jej wkładzie w sztukę filmową dwudziestolecia międzywojennego oraz dra Tomasza Walczyka z tematem *Ze Lwowa do Krynicy. Nieznana stolica Galicji*. Po zakończeniu dyskusji referencji w towarzystwie Mariana Frużyńskiego udali się do Muzeum Historii Lwowskiego Narodowego Uniwersytetu im. Iwana Franki, po którym zostali oprowadzeni przez dyrektora Yuriya Hudymę. O godz. 18 w Lwowskiej Filharmonii Narodowej odbył się koncert Orkiestry Symfonicznej pod batutą prof. dra hab. Bogdana Boguszewskiego, w trakcie którego wykonano symfonię *Polonia* Ignacego Jana Paderewskiego. Pierwszy dzień konferencji zakończyła uroczysta kolacja wydana przez organizatorów w restauracji hotelu Lwów.

W sobotę 20 X o godz. 9 złożono kwiaty przed pomnikami Adama Mickiewicza oraz Tarasa Szewczenki, godzinę później zaś

rozpoczęła się msza św. w Bazylice Archikatedralnej Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. W samo południe uczestnicy jubileuszu TKPZL udali się do Lwowskiego Narodowego Akademickiego Teatru Opery i Baletu im. Salomei Kruszelnickiej na pierwszorzędną przygotowaną akademię i występ Zespołu Pieśni i Tańca „Lublin” im. Wandy Kawiorowej oraz chóru „Echo”.

Z uznaniem o zorganizowanych wydarzeniach wypowiedział się ich uczestnik senator Robert Gaweł. Obchody jubileuszowe domknęło wydane z wielkim rozmachem przyjęcie w hotelu Lwów. Godzi się odnotować, że konferencja była okazją do odznaczenia Jana Tyssona – nestora lwowskich aktorów, medalem dwudziestopięcioletnia warszawskiego Instytutu Lwowskiego. Prezesowi TKPZL Emilowi Legowiczowi i doc. dr n. med. E. Hrycaj-Małańczak – kierującej Stowarzyszeniem Lekarzy Polskich we Lwowie i Lwowskim Uniwersytetem Trzeciego Wieku, gratulujemy i jednocześnie dziękujemy za trud włożony w przygotowanie prześwietnego jubileuszu, który wspominano jeszcze długo po zakończeniu.



Wizyta w Muzeum Historii Lwowskiego Narodowego Uniwersytetu im. Iwana Franki (od prawej): dr S. Dziedzic, dr T. Walczyk, prof. dr hab. K. Dormus, dyr. Y. Hudyma, dr hab. W. Wilczyński, prof. UP)



Akademia w Lwowskim Narodowym Akademickim Teatrze Opery i Baletu im. S. Kruszelnickiej

## I strona okładki:

Uniwersytet Lwowski utrwalony na fotografii w latach 70. XX wieku przez prof. Stanisława Grodzkiego



**Biblioteka  
Kraków**

---

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Adam Guyrkovich

---

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – wiceprezes Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, dr Stanisław Dziedzic – dyrektor Biblioteki Kraków, dr Karolina Grodziska – dyrektor Biblioteki PAN i PAU, Adam Guyrkovich – prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz Paluch – kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków

Redakcja:

Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Anna Madej, Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz, Marta Walczewska

Strona internetowa CL: [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)

oraz [www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/](https://www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/)

Adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [info@cracovia-leopolis.pl](mailto:info@cracovia-leopolis.pl)

Informacje o kwartalniku CL: [cracovialeopolis@gmail.com](mailto:cracovialeopolis@gmail.com), tel. 608 155 693

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

---

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

# Spis treści

Janusz M. Paluch PRZYCHODZIMY, ODCHODZIMY?	1	Stanisław Grodziski ...I ZOBACZĘ MIASTO LWÓW...	36
ks. inf. Dariusz Raś KAZANIE WYGŁOSZONE PODCZAS MSZY ŚW. W 100-LECIE OSWOBODZENIA LWOWA	1	MUSICA LEOPOLIS Michał Piekarski ZAKOŃCZONY ROK NIEPODLEGŁOŚCI, ROZPOCZĘTY ROK MONIUSZKI	40
Stanisław Czerny POŻEGNANIE ADAMA GUIRKOWICHA	3	Zbigniew Wawszczak NIEPOSPOLICÍ LUDZIE KRESÓW – ŻNANI, LECZ ZAPOMNIANI	43
R O Z M O W Y Aleksandra Solarewicz KRESOWA STANICA NA POLSKICH ŁUŻYCACH ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM I KRZYSZTOFEM KOPOCIŃSKIMI	4	P O E Z J A Karolina Grodziska OKUPACYJNE WIERSZYKI HENRYKA GREBA	46
Anna Madej ROZMOWA Z BOŻENĄ Blicharską	22	Witold Wilczyński UKRAŃCY W PUBLIKACJACH JANA I EUGENIUSZA ROMERÓW	49
Jarosław Krasnodębski PAMIĘĆ O WILNIE I LWOWIE NA D SEKWANA ROZMOWA Z KRYSYŃĄ ORŁOWICZ	38	Antoni Wilgusiewicz ROLA KRESOWIAN W ŻYCIU MIASTA GÓRNOŚLĄSKIEGO PO I I PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ NA PRZYKŁADZIE CHORZOWA	56
Daniel Stós WSPOMNIENIA Z KRESÓW POŁUDNIOWO- -WSCHODNICH I LWOWA	12	Anna Stengl MANNOWIE. LWOWIACY PAMIĘTANI CZY NIECO ZAPOMNIANI?	65
Piotr Boroń POCZĄTKI KONFEDERACJI BARSKIEJ BYŁY TEŻ WE LWOWIE	14	Paweł Brzegowy SPRAWOZDANIE Z KONFERENCJI JUBILE- USZOWEJ „LWÓW W HISTORII I KULTURZE POLSKIEJ”, 19–20 X 2018 R.	67
P R O Z A Hanna Wietrzny OPOWIADANIE MOJEJ MAMY	18		
Danuta Nespiak HISTORIA PEWNEJ FOTOGRAFII	26		
Beata Bednarz ZA TAMTYM LWOWEM	28		